

Włodzimierz Żukowski

**Komisarz
O'Mlett
i powiatowa
śmierć**

Warszawa 2009

Wszystkie nazwiska, nazwy miejscowości i wydarzenia przedstawione w tej książce są przypadkowe i mają związek z rzeczywistością tylko o tyle, o ile rzeczywistość zechce się z nimi utożsamić.

Wiele wskazywało na to, że na Bonawenturze Glizdolu popełniono ohydny mord. Stało się to w dniu 14 lipca wieczorem, w same imieniny nieszczęsnej ofiary. Tego dnia solenizant zorganizował w rodzinnym domu przyjęcie towarzyskie, które zaszczyliły swą obecnością następujące osoby:

- Benjamin Glizdol – młodszy brat zamordowanego.
- Bernadeta Drąg, z domu Glizdol – siostra ofiary.
- Marzena Sępiak – aktualna konkubina Beniamina, ongiś bliska koleżanka zmarłej przed pięcioma laty Apolonii Gżyp, narzeczonej zamordowanego.
- Maniek Gżyp – brat świętej pamięci Apolonii, niedoszły szwagier solenizanta.
- Marcin Plujski – kolega z pracy Beniamina.
- Zbychu Ciul, ksywa „Szpica” – kolega kolegi i przyjaciel domu.

– Waleria Szczapa – babcia ze strony matki denata, osoba wiekowa, ale dość żywotna i nie pozbawiona własnego sądu w sprawach zasadniczych.

Rezydencja rodu Glizdolów leżała na peryferiach miejscowości Papucie Stare, powiat Kłaków Mazowiecki i składała się z salonu sypialnego połączonego z kuchnią i ślepej kanciapo-rupieciarni z przeznaczeniem ogólnomagazynowym. Pomieszczenia o charakterze sanitarnym znajdowały się na zewnątrz obiektu i raczej cieszyły się zainteresowaniem mieszkańców w stopniu dużo mniejszym niż zaplecze sąsiedzkiej stodoły. Rezydencję z przyległościami oraz 3 ha ziemi ornej, z czego większą część stanowiły nieużytki, a reszta nadawała się pod kartofle, zamordowany odziedziczył po rodzicach w roku dwutysięcznym, kiedy to oboje przypadkowo nadużyli odbarwionego denaturatu i w związku z tym nie zdążyli sporządzić testamentu z podziałem, co stało się zarysem nieporozumień. Od tego czasu toczył z rodzeństwem o tę schedę cichą wojnę, w którą żadna ze stron nie angażowała dotychczas przedstawicieli prawa ani sił zewnętrznych, usiłując rozwiązać problem we własnym zakresie przy pomocy orczyków, kłonic lub w drodze trójstronnych, na ogół niezbyt krwawych negocjacji z ograniczonym wykorzystaniem sztachet.

Trzydzieści lat temu, w roku 1978, gdy komuniści perfidnie przymuszali lud pracujący do wypoczynku za pól darmo w domach

wczasowych FWP, w takim właśnie ośrodku niejaki Józef Glizdol, przyuczony traktorzysta, poznał na wieczorku zapoznawczym, zorganizowanym pod czujnym okiem kaowca, nadobną Leokadię Szczapę, córkę Eustachego i Walerii z domu Pirat.

Po dwóch miesiącach upojnego narzeczeństwa młodzi postanowili zalegalizować związek i ślub wyznaczono na listopad, gdyż panna młoda zaczęła przejawiać symptomy towarzyszące zazwyczaj procesowi przedłużania gatunku i nie można było czekać do karnawału. Miejscowy proboszcz za odpowiednią opłatą wyjednał w kurii niezbędne ponoć zezwolenie na ślub w adwencie, a urzędowi stanu cywilnego było wszystko jedno, więc wesele odbyło się zgodnie z planem kilka dni po Zaduszkach, w samą radziecką rocznicę Rewolucji Październikowej, która w rzeczywistości była listopadowa.

Stadło zaowocowało czworgiem dzieci zdecydowanie żywych i trzema poronieniami, z czego tylko dwa były wynikiem ciężkiego pobicia, a trzecie – przypadkowego upadku z drabiny na kanciasty kontener po winie owocowym.

Pierwszy urodził się Bonawentura, a po nim rok po roku Benjamin, Bernadeta i najmłodszy Bonifacy, który w wieku lat trzech wykazał zbyt małą odporność na węglowodany i utopił się w kuble zacieru przygotowywanego do dalszej produkcji.

Fakt, że wszystkie imiona dzieci zaczynały się na „B” należy zawdzięczać lekko nawiedzonemu proboszczowi, który wychodził z założenia, że skoro Pan Bóg jest na „B”, to wszelkie chrzczone przez duchownego owieczki też powinny być na „B”. Czynił to więc z samozaparciem i konsekwentnie, lekceważąc nieśmiałe protesty niezbyt trzeźwych rodziców.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych Bernadeta wyszła za mąż za Grzesia Drąga, ksywa „Pikuś”, sąsiada, osobnika z natury dość nerwowego, który jakiś czas później poszedł siedzieć. Za notoryczne przejawianie licznych niedoskonałości w zakresie przestrzegania współżycia społecznego, dokonywane pod wpływem, z użyciem, w zamiarze i w porozumieniu, cyklicznie odsiadywał coraz dłuższe wyroki i po kolejnym do dzisiaj wypoczywał we Wronkach.

Beniamin Glizdol, młodszy brat denata, nie ożenił się, bo cenil sobie niczym nieskrępowany styl życia i poprzestał na cyklicznej zmianie konkubin przeciętnie raz na siedem do ośmiu miesięcy. Ostatnią jego partnerką była niejaka Marzena Sępiak, z zawodu osoba do towarzystwa. Sam Beniamin dorywczo pracował jako stróż nocny, a ostatnio jako przyuczony ochroniarz prezesa spółki „Bestlongszpagat” specjalizującej się w wiązaniu porwanych sznurków do snopowiązałek z odzysku.

Natomiast Bonawentura Glizdol, gdy pięć lat temu, w swoje dwudzieste piąte urodziny szykował się do ślubu z Apolonią Gżyp, bezrobotną przodującą dójką z byłego PGR Zagrychy, to zorganizował szampański wieczór kawalerski w krzakach za cegielnią, w trakcie którego zapadł w dwudziestoczerogodzinną śpiączkę farmakologiczną. W tym samym czasie jego narzeczona, przymierzająca właśnie suknię ślubną, została przez nieznaną sprawców uduszona welonem. Zbrodnię wykryto już następnego dnia przed południem, gdy oboje narzeczeni nie zjawili się w kościele, na skutek czego księdzu nie zamykał się finansowy bilans dnia, czym serdecznie zaniepokojony wszczął natychmiastowe poszukiwania przy współudziale agentek wywiadu z kółka różańcowego.

Miejscowe organy ścigania, przybyłe na miejsce zbrodni w osobie posterunkowego Pipsztaka, podjęły natychmiast intensywne śledztwo. Bardzo szybko wykluczono samobójstwo jak również bezpośredni udział narzeczonego, gdyż ten w dalszym ciągu przebywał w stanie hibernacji, w którą popadł jeszcze przed momentem zbrodni. Potwierdziło to dwóch świadków nieco trzeźwiejszych od niedoszętego męża, w tym brat zamordowanej Maniek Gżyp również biorący udział w imprezie, ale bardziej powściągliwy w ucztowaniu z uwagi na przebyte zapalenie wątroby i wszyty esperal. On też jako jedyny z zainteresowanych miał wyrzuty

sumienia, że pozostawił młodszą siostrę w domu samą w przeddzień zamążpójścia i udał się na degustację samogonu, namówiony przez przyszłego szwagra. Podejrzanych w sprawie ani naocznych świadków nie udało się ustalić, a i sekcja nie wykazała niczego poza oczywistą przyczyną śmierci, wobec czego prokurator w Kłakowie po trzech miesiącach umorzył śledztwo i o sprawie rychło by zapomniano, gdyby nie zadziały siły nadprzyrodzone. Oto duch zamordowanej bestialsko w wigilię ślubu Apolonii zaczął miejscowych straszyć, a niektórych nawet czynnie znieważać, co ogólnie uznano za kanonicznie niedopuszczalne. Nie pomogły egzorcyzmy odprawiane przez proboszcza ani nawet obietnica interpelacji w sejmie podjęta przez odłam prawicowy i duch dalej panoszył się po okolicy. Atakował wszelako wyłącznie osoby płci męskiej aktywnie i w nadmiarze naruszające literę ustawy o wychowaniu w trzeźwości lecz, czemu się nie dziwiono, tylko przebywające w miejscach odosobnionych. Doszło do tego, że biesiadnicy bali się samotnie wychodzić z gospody za potrzebą i właściciel lokalu zmuszony był założyć bezpłatny, oświetlony wychodek, z podziałem na męski i damski, co było zgodne z przepisami sanepidu, ale naruszało założenia konstrukcyjne baraku i podkopywało ogólny rachunek ekonomiczny.

Zjawa straszyła zawsze po ciemku. Ci, którzy ją widzieli jednoznacznie twierdzą, że ubrana była w suknię ślubną trzy czwarte z rę-

kawami i koronką na mankietach, welon do pępka zakrywający twarz, a pod suknią w robocze dreluchy i gumki z wywiniętymi, białymi cholewkami. Pojawiała się zniecka i stała bez ruchu, poddając białą szatę tylko powiewom wiatru, jeżeli takowy akurat był, lub strasznym, powolnym ruchem wznosząc rozłożone ramiona do poziomu, jak okryte muślinem, nieziemskie skrzydła.

Człowiek, któremu zastępowała drogę, zazwyczaj sztywniał z przerażenia, a następnie uciekał gdzie pieprz rośnie, na przelaj, nie zwracając uwagi na przeszkody w postaci płotów, kolein, drutów kolczastych czy też wszelkiej innej miejscowej infrastruktury. W związku z tym, że delikwent z reguły nawalony był jak stodoła, skutkiem panicznej ucieczki na ogół był upadek w jakimś rowie i często tamże napastowany zasypiał nakrywszy ze strachu głowę kapotą.

Z czasem mieszkańcy Papuci Starych przyzwyczaili się do obecności ducha, a mimo że ktoś od czasu do czasu dostawał od zjawy czymś po łbie, to nikt nie widział w tym dużego problemu.

Było tak aż do pamiętnego wieczora dnia 14 lipca, kiedy to dokonano ohydneho mordy na osobie Bonawentury Glizdola, i to w jego własnym domu, w obecności najbliższej rodziny. A przebieg wypadków był następujący:

Przyjęcie imieninowe w posiadłości Glizdółów rozwijało się bez zakłóceń. Stary telewizor ustawiony na popsutej pralce w rogu sa-

lonu emitował od czasu do czasu różne fascynujące wiadomości, lecz nie czyniły one na zgromadzonych biesiadnikach większego wrażenia. No bo jakżeż fakt, że 14 lipca jest świętem narodowym Francji, bo ileś tam lat temu rozwalono jakąś Bastylię, może równać się z informacją, że wódka się kończy. Nius donoszący, że dziś właśnie mamy wigilię rocznicy bitwy pod Grunwaldem zrobił nikłe wrażenie tylko na Zbychu, ksywa „Szpica”, który w ogóle lubił różne bitwy i rozróby, a że pochodził z okolic Ostródy to znał teren bijatyki, o czym szczegółowo poinformował obecnych:

– Tam, proszę ja was, nic nie ma do oglądania, szczerze pole, nawet nie zasiane. Tylko pomniki różne stoją, cholera wie po co, a najbliższa gospoda dopiero w Stębarku i też popić nie można, bo cały czas pętają się wycieczki małolatów. Potośmy tę rąbankę organizowali, żeby teraz nie było gdzie nawet flaszki obalić za dusze tych Krzyżaków? Co, nie? W rzyci mam taką historię starożytną!

Czujny solenizant pospieszył uspokoić obecnych, że posucha alkoholowa im nie grozi, bo w razie czego dysponuje zapasem produkcji autorskiej, a we własne imieniny nie będzie przecież oszczędzał, chociaż rodzinę ma cholerę wartą.

Rodzina wszelako nie obraziła się na tę subtelną aluzję, a babcia Walercia sięgnęła nawet do zdezelowanej pralki pod telewi-

zorem, gdzie przechowywała wczorajszą kaszanekę i słoik ogórków w celu wzbogacenia zagrychy.

Widząc, że zapas trunków na stole szczupleje z minuty na minutę, Bonawentura podniósł się ze stołka i chwiejnie udał do ciemnej kanciapy, gdzie przechowywał kilka butelek księżycówki zakamuflowanych na czarną godzinę. Ledwie zniknął w czarnej czeluści gdy do obecnych dobiegł stamtąd stłumiony okrzyk, jakiś łomot, a w tej samej chwili solenizant cofnął się nagle i runął na plecy nadziewając się na widły, które stały na trzonku, zębami do góry, oparte o framugę drzwi.

– Beniek, trzymaj się powietrza! – zarechotał Zbychu Ciul, który siedział najbliżej.

– A flaszki nie stłukłeś? – zaniepokoił się brat gospodarza.

Solenizant leżał na plecach i wykonywał nogami dziwne podrygi, jakby usiłował nieporadnie wstać, ale po kilkunastu sekundach zaprzestał tych prób i zastygł w bezruchu. Przez krótką chwilę trwała cisza, ale w końcu Bernadeta pochyliła się z niepokojem nad leżącym bratem i zaczęła go trącać w ramię: – Bonuś, nie wygłupiaj się, co tak leżysz, boli cię co? – widząc wszak, że mężczyzna nie reaguje, złapała go za koszulę i uniosła nad podłogą. Wówczas oczom obecnych ukazała się rozlewająca się po zaśmieconej podłodze plama krwi.

– O rany! – jęknął Benjamin – nadzieją się na te pieprzone widły, trzeba coś zrobić, bo krew mu ujdzie!

– Ma kto komórki?

– Ja mam, ale mi się rozładowała! Lećta do sołtysa, pogotowie ściągajta! – zarządził Maniek Gżyp, najtrzeźwiejszy z całego towarzystwa z uwagi na nadwątloną wątrobę.

Do telefonu pobiegł Benjamin bo znał sołtysa, bywał u niego i wiedział, że sołtysowe burki go nie pogryzą. Tymczasem ofiarę podniesiono z podłogi i ułożono na tapczanie, ale widać było na pierwszy rzut oka, że żadne zabiegi już mu nie pomogą. Nawet krew z rany na plecach nie ciekła, a półotwarte, szkliste oczy bez wyrazu patrzyły obojętnie na wciąż rozjarzony ekran telewizora.

– Zgaśta toto bo mię wnerwia – szeptem powiedziała Bernadeta.

Pogotowie przyjechało po półgodzinie, bo drogi były suche i karetka akurat była po remoncie. Młoda lekarka usiłowała początkowo reanimować, wkuła wenflon, podłączyła elektrody, ale gdy monitor uparcie pokazywał prostą linię i defibrylacja nie dawała rezultatu, po dziesięciu minutach bezradnie opuściła ręce.

– Przykro mi – powiedziała z rezygnacją – sami państwo widzą. Ja muszę zawiadomić policję, bo to nagły zgon. Proszę nie mieć pretensji.

Policja pojawiła się po następnej półgodzinie w osobach sierżanta Brysia i starszego posterunkowego Pipsztaka, bo posterunek mieścił się dwa domy za sołtysem, a więc wieść o wypadku dotarła do nich szybciej niż telefon z pogotowia. Poza tym pół wsi widziało przejeżdżającą karetkę, więc za opłotkami zdążył zgromadzić się już wianuszek gapiów. Co odważniejsze baby usiłowały wejść do środka, ale Beniamin porażony nagłą śmiercią brata złapał za łopatę i stanął w drzwiach.

– Spieprzajta do garów – warknął groźnie – Ino mig, bo kulasy poprzetrącam!

Sierżant Bryś milcząco zaakceptował zachowanie Beniamina, więc tłumek bab wycofał się za furtkę i tylko zza opłotków komentował wydarzenie.

– To una! Nic, tylko una! Wiadomo było od dawna, że prędzej czy później tego łachmytę Bonka dopadnie, co siem z niom bez ankołizm nie łożenił, bo siem akurat musiał zapić! Przecie wiem, bo sama widziałam jak w pięciu pili za cegielnią – perorowała Klempowa, od dawna cięta na rodzinę Glizdoli za rzekome uprowadzenie doonej kozy. Zwierzę co prawda odnalazło się u całkiem kogo innego, ale niechęć pozostała w postaci nieusuwalnego echa i z czasem urosła do rozmiarów konfliktu przynajmniej tak dużego, jak wendetta skłóconych rodów Romea i Julii.

Nikt już nie pamiętał, o co właściwie poszło, ale waśń kwitła jak rozpleniony oset w życie i jak mówi znakomity pisarz, zatrzymała krew pobratymczą.

– Tym Glizdolem wszystko co najgorsze po sprawiedliwości siem należy – poparła sąsiadkę stara Drągowa, mamusia męża Bernadety Grzesia Drąga ksywa „Pikuś”, który od wielu lat nie wychodził z pudła – jeszcze zobaczyta, że tę Bernadetkę, psia jej mać, także samo ślag trafi za mojom krzywdę!

Sierżant Bryś sprawę załatwił krótko: – nikt nic nie rusza, nikt nie wchodzi, nikt nie wychodzi, wszystko siedzą na dupie dopóki prekurator nie przyjedzie i nie zarządzi, co dalej. Zrozumiełiście, ludzie? Pipsztak, stójcie tu i nie puszczajcie – rozkazał podwładnemu.

– A kiedy on tam przyjedzie, ten cały prekurator. – z powątpiewaniem westchnęła Bernadeta.

– Będzie czas, to przyjedzie, nie bójta się. Już do niego dzwoniłim. Za długo nie będzie zwlekał, bo gorąc idzie i zwłoki trza zabrać, a przez ten czas wy mi po kolei będziecie zeznawać jak to po prawdzie było. Lepiej od razu się przyznajta, kto go od tyłu dziabnął tymi widłami. Tak raptem wstał ze stołka i sam się w plecy dziabnął? Chyba kto głupi wama uwierzy, bo nie ja! Pani pierwsza zeznaje, pani Walerciu!

Tu policjant zajrzał do komórki przyświecając sobie latarką, ale zobaczył tylko porzucane narzędzia, jakieś stare worki, połamane krzesło na trzech nogach, dziurawy baniak na mleko i parę butelek stojących pod ścianą tudzież kociołek z odstojnikiem i orurowaniem o wiadomym przeznaczeniu.

Babka wezwana do złożenia zeznań nie miała wiele do powiedzenia. Ot, siedziała, trochę przysypiała bo ździebko wypita, widziała tylko jak się denat przewrócił i tyle. Inni po kolei też niewiele wnosili do sprawy. Jak wszedł w tę ciemność za drzwiami to coś tam krzyknął, cofnął się jakby ducha zobaczył, potknął się o próg i upadł plecami prosto na widły.

– Ale czemu się cofnął? – dochodził sierżant.

– Nie wiadomo. Zobaczył coś czy co? No bo tylko krzyknął, coś jakby „uch”, albo jakoś tak. Może „och” albo „ach”. Nawet publicznie słowem nie rzucił tylko z miejsca go cofło. Rękami tylko zamachał jakby się od czegoś oganiał!

– Co zobaczył? No co mógł zobaczyć? A wyśta nic nie zobaczyli? Przecie tam nic nie ma, tylko same badziewie w tej komórce! Własnego kociołka na bimber się przestraszył? Wszystko tamój porzucane byle jak i ciemno jak u murzyna. Co to, żarówki nie mieliśta, żeby wkręcić?

– A no nie mieliśmy. Może szczura zobaczył!

– A co on? Jaka hrabinią, żeby się szczura przestraszać? Lepiej po dobroci zeznajta, kto go dźgnął. Prekurator i tak z was szczerą prawdę wydusi!

Prokurator przyjechał ciemną nocą zły jak chrzan, że go obudzili. Spisał co trzeba, zebrał dane od świadków, obejrzał bałagan w kanciapie, pokręcił się tu i tam, wreszcie pozwolił dwóm smutnym facetom z sądówki zabrać ciało na sekcję i pojechał. Na odchodnym polecił sierżantowi kontynuować śledztwo i obiecał, że przyśle ekipę z Kłakowa, bo sam widzi, że miejscowa władza z zebraniem dowodów sobie nie poradzi.

Reszta nocy zesła obecnym na dopiciu tego, co zostało na stole, bo drzwi do kanciapy zostały zaplombowane i nie było już dostępu do zapasów. Szczęśliwie babka wyciągnęła jeszcze litrową butelczynę z pralki spod telewizora, tak że jakoś przetrwali do wczesnego świtu.

Sekcję Bonawentury Glizdola wykonano po dwóch dniach. Stwierdzono ranę kłutą penetrującą od tyłu klatkę piersiową, w wyniku której powstało naruszenie aorty zstępującej i przebicie tylnej ściany prawej komory, co spowodowało masywny krwotok i zatrzymanie akcji serca. Poza tym stwierdzono wgniecenie kości czołowej czaszki nad lewym oczodołem, w obrębie lewej zatoki czołowej, połączone ze stłuczeniem mózgu, powstałe za życia ofia-

ry. We krwi denata wykryto 3,1 promila alkoholu, a poza tym niestrawiony alkohol w treści żołądka. Pozostałe organy znajdowały się w stanie typowym dla trzydziestoletniego palacza i alkoholika.

– To oznacza, że delikwenta nie tylko potraktowano widłami pod łopatkę, ale również walnięto przedtem czymś ciężkim w łeb. Skoro tak, to nie wygląda to na żaden wypadek tylko czyste morderstwo. W tej sytuacji niech sprawę prowadzi policja wojewódzka – zdecydował prokurator, gdy przeczytał protokół z sekcji zwłok.

Podinspektor Przeciąg zlecił dochodzenie komisarzowi O'Mlettowi i aspirantowi Charujowi, gdyż stanowili oni jedyny zespół chwilowo wolny od innych zadań. Aczkolwiek amerykański policjant na polskiej wsi mógł niektórym wydawać się osobą niezbyt przygotowaną do stawienia czoła specyficznym trudnościom, podinspektor uznał, że jego prawie półtoraroczne doświadczenie wystarczy, a poza tym zawsze może korzystać z wiedzy i praktyki kolegi aspiranta.

Komisarz Egg O'Mlett był synem polskiego emigranta z Czikago i przybył tu w ramach wymiany kadr. Nazwisko zmienił dla ułatwienia życia sobie i innym, bo Eugeniusz Jajszczyk okazało się dla kolegów nie do wymówienia. Po polsku mówił słabo, choć ostatnio coraz lepiej, a i tak jego język był tematem dowcipów i przyczyną zabawnych nieporozumień. Dotychczas przeprowadził kilka uda-

nych śledztw, czym korzystnie zapisał się w annałach komendy. Z Charujem znali się od początku jego pobytu i z czasem stali się przyjaciółmi, stanowiąc zgrany i operatywny tandem, w którym aspirant z powodzeniem grał rolę cierpliwej przedszkolanki wprowadzającej szefa w zawite i często dla niego abstrakcyjne polskie realia.

Po przejęciu śledztwa pierwszą czynnością O'Mletta było obejrzenie miejsca zbrodni i wstępne przesłuchanie uczestników pamiętnej biesiady.

Do Papuci Starych przyjechali wraz z Charujem przed południem i w towarzystwie sierżanta Brysia bez zwłoki udali się do siedziby rodu Glizdółów. Na miejscu zastali brata, siostrę denata i babkę Walerię – wszystkich troje wyjątkowo trzeźwych, ewentualnie tylko na lekkim kacu zapewne z uwagi na wczesną porę dnia i chwilowy brak dostawy zakąsek do miejscowego sklepu.

Sporządzony dzień wcześniej protokół z przeszukania i zabezpieczenia śladów przez ekipę w konkluzji sprowadzał się do filozoficznego „wiem, że nic nie wiem”, bo nie zawierał żadnych logicznych wniosków mogących przybliżyć w śledztwie koncepcję morderstwa, względnie jej zaprzeczyć. Od wszystkich uczestników biesiady pobrano odciski linii papilarnych i daktyloskopia szybko ustaliła, że na podstawie ich liczby, wzajemnego położenia

na przedmiotach i przykrycia jednych drugimi nie da się określić ostatniego użytkownika wideł i siekiery, który z tej racji mógłby być najbardziej podejrzany. Ślady krwi na wyszczerbionym ostrzu i na stylisku siekiery nijak nie wiązały się ani z przebiegiem wypadków ani z ranami, jakie odniósł poszkodowany. Poza tym krew z ostrza siekiery okazała się być krwią koguta, a krew z jej styliska – krwią ludzką, ale nie wiadomo czyją. Ślady krwi na zębach wideł i podłozie przed drzwiami do komórki potwierdzały wersję świadków o zranieniu się denata w wyniku upadku, a drobny krwawy ślad na zardzewiałej rurze gazowej lub wodociągowej stanowiącej trzonek szerokich grabi – nie mówił niczego konkretnego. Poza tym odkryto i zabezpieczono kilka długich włosów blond wplątanych pomiędzy nieheblowane deski regału na butelki, wykorzystany bilet autobusowy sprzed miesiąca do Parzęczewa Górnego, puste opakowanie po ptasim mleczku z odręcznym napisem Burak 0603-12 i dalej nieczytelne oraz zardzewiały nóż sierpak ogrodniczy ze złamanym ostrzem. Inne przedmioty znajdujące się w kanciapie były narzędziami typowymi w gospodarstwie i zwykłymi śmieciami, wszakże nie nosiły widocznych śladów krwi.

Bilet autobusowy do Parzęczewa Górnego nosił odcisk palca Marzeny Sępiak, a poza tym fragmenty odcisków czterech innych osób.

Nie udało się ustalić, do kogo należał numer telefonu zanotowany na opakowaniu ptasiego mleczka, ani jaki to w ogóle ma związek ze sprawą, jako że samo pudełko zostało wyprodukowane w roku 2004, a jego zawartość zużyta najpóźniej w roku 2005.

Do protokołu z oględzin miejsca zdarzenia dołączono szkic obrazujący położenie poszczególnych przedmiotów, zarówno względem siebie jak i w stosunku do drzwi, które były jedynym otworem prowadzącym do tego ślepego pomieszczenia.

Komórka nie miała okna ani innego wejścia niż te, przez które wszedł sam denat, więc wydawało się nieprawdopodobne, aby ktoś wszedł tam od zewnątrz inną drogą. Mało prawdopodobne było również ukrycie się kogoś w komórce jeszcze przed rozpoczęciem biesiady i oczekiwanie tam na gospodarza domostwa. Głównymi i jedynymi podejrzanymi byli więc tylko uczestnicy biesiady, prokurator wszelako nie zdecydował się na wystąpienie do sądu o zastosowanie aresztu, mimo że miał służbową chęć zamknąć całe towarzystwo łącznie z babką i mieć sprawę z głowy. Liczył na to, że policja coś mu podsunie bo też będzie jej zależało na szybkim wyplątaniu się z tak wątpliwej sprawy. Musiałby dostać jakiś niepodważalny dowód w stosunku do którejkolwiek z tych osób aby móc ryzykować postawienie zarzutu, bo w przeciwnym przypadku sąd na pewno odrzuciłby jego wniosek.

Wynikiem rezygnacji z zastosowania aresztu była nieobecność Zbycha Ciula, „Szpicy”, który powrócił w swoje strony, Marcina Plujskiego, który też zniknął, a poza tym nie miał motywu aby mordować Bonawenturę, i Marzeny Sępiak, flamy Beniamina Glizdola, która udała się do normalnych zajęć podobno w jakiejś agencji towarzyskiej w Kłakowie.

Obecni na miejscu byli więc tylko: Beniamin – brat ofiary, Bernadeta Gżyp – jego siostra, Maniek Gżyp – niedoszły szwagier i babka Waleria Szczapa, oni więc, z konieczności, skupili na sobie zainteresowanie komisarza, który po dokładnym obejrzeniu terenu zdarzenia przystąpił do przesłuchań. Na początku kazał im usiąść za stołem na tych samych miejscach, które zajmowali w czasie feralnej kolacji, a gdy wszyscy potwierdzili, że tak właśnie siedzieli, to zabrał się do rozmów indywidualnych

– Pan nie udziałł w podziale spadka? – spytał na wstępie Beniamina, jako osoby głównie zainteresowanej w odzyskaniu części schedy.

– Nooo – z mocą odparł zapytany.

– I pan sze nie zgodził, żeby wsisko dla bratu?

– Nooo – potwierdził Beniamin po paru sekundach, gdy już rozumiał pytanie.

– I pan umyślał go zabyć?

– A gdzie tam! Co najwyżej normalnie w ryj bym mu przyłożył, ale przecie brata widłamy bym nie zabił!

– Łun by muchi nie ukrzywdził – wtrąciła się babka – od ma-
lentkości był taki zgodliwy do obrzydliwości, nawet po pijaku ni-
kogój by nie dziabnął, a już widłów to w ogóle w rękach nie miał,
bo z drugiej strony stołu stojali! Psecie jesce krzyczał, żeby Bonuś
flaszki nie stłukł, to jak go miał dziabać? Flaszki przecie mu było
szkoda!

– Pani Walerciu, pani się tera przymknie. – Łagodnie zareago-
wał sierżant Bryś.

– Flaszki škoda, a brata panu nie škoda? – z wyrzutem zapytał
komisarz.

– A co jedno z drugim ma wspólnego? – zachnął się Beniamin
– przecie łun tej flaszki w ręku nie miał, jak siem przewracał! Ale
jak leciał, to nie wiedziałem, czy ją wziąn czy nie wziąn. Jak zaczął
lecieć, to krzykłem żeby uważał, no nie?

– Faktycznie – potwierdziła babka – nijakiej flaszki nie mniał.
Pewnikiem nie zdążył jej chycić, jak go to coś wystraszyło. Cegój
od Beńka chceta, jak łun niewinny jak ta lelija! Psecie łun bez cały
wiecór dupy ze stołka nie rusył!

– Pani Walerciu, pani się, kurna, zamknie, jak rany! – ostrzej
nakazał sierżant podniesionym tonem.

– A denat żonaty był może? – Charuj zwrócił się z tym pytaniem do Beniamina, brata ofiary, ale babka nie dała mu dojść do słowa i rozjazgotała się znowu:

– A gdzie tam żonaty! Jak mu parę lat temu nazad narzeczonom udusili, to mu chęć do żeniaczki całkiem odesła! Psestem też trzeba było wołami do ołtarza go ciungnąć, a potem to jus całkiem za dziewczamy nie patrzył. Abo to raz mu mówiłam, łożeń ze się Bonuś, bo tak w pojedynkie nie po krześcijańsku i świniom nie ma kto ziemnioków uparować ani siecki naciąć jak należy, ksiądz się tes pytał, kiedy da na zapowiedzi, ale un nie i nie, że mu nie potrza i że tak mu lepiej! Jus po wsi mówili, że łun jakojsik pseinacony albo moze na księdza się kieruje, ale gdzie mu tam na księdza jak łun szkół nie miał. A prosiłam gada, a molestowałam, a przykazywałam...

– Pani Walerciu, pani się zatka w końcu, czy nie? – ryknął sierżant Bryś.

– No i cegój ksycy? Cegój ksycy? Szczerum prawdę mówie...

O'Mlett zorientował się, że w tych warunkach wyciszenie babki może nie odnieść skutku i polecił policjantowi wyprowadzić ją z izby. – Stara pani prosie aut – powiedział zdecydowanie – pręko, pręko, całkiem aut, na dworzec!

– Na dwór – poprawił Charuj widząc lekką dezorientację sierżanta Brysia.

Po wyprowadzeniu babci Walerci komisarz zabrał się za Bernadetę Drąg, która dotychczas siedziała jak trusia i nie zabierała głosu.

– Pani monś szedzi – bardziej stwierdził niż zapytał O’Mlett – ale ci on psipadkiem nie wychodży na jaka permit... znaci psiapiu... psipuz...

– Na przepustkę – uściślił Charuj.

– Gdzie tam! Nie puszczajom go, bo podobnież psychiczny zakazuje.

– Psycholog nie pozwala? – znowu wtrącił się aspirant – są kłopoty z resocjalizacją?

– Ja tam nie wiem – Bernadeta wzruszyła ramionami – podobnież zabił kogójścik w tem więźniu, czy przetrącił. Zawsze był taki honorowy, za bele co zara lał. Tera to go długo nie puszczom.

– A w czas tego barbikiu to pani na pewno szedzi, gdzie szedzi? – spytał O’Mlett.

– Że co proszę?

– Czy na pewno tu pani siedziała wtedy na imprezie? – przetłumaczył Charuj.

– A tu, gdzie tera siedzę. Zawsze tu siedzę, Bonek siedział koło mnie, a babka naprzeciw. Inne goście to różnie. Marzena, na ten przykład, na wersalce siem rozwalila z nogamy jak ta maciora jaka.

– Nie lubi jej pani, tej, no... bratowej?

– A nie lubię. Co? Nie wolno? Z Polą niby była za wielkom koleżankie, za druhne miała być, a na pogrzeb nawet nie przyszła, wydra jedna.

– Z jaką Polą? Ja prosie dokładnie, kto jest Polą – komisarz poczuł się zagubiony w tych zawiłych koneksjach rodzinnych.

– No z Apolonią świętej pamięci, tą narzeczoną Bonka, co jom w sam dzień ślubu welonem udusili i co tera we wsi za ducha robi! Niech Maniek, jej brat przyświadczy, jaka z tej Marzeny gwadelupa wredna była, halabarda gupia! Potem do Bonka znowu letko się dobierała, tak bokami, bokami, ale on jej nie chciał, marakasy francowatej! Przecie wiem. Siostra jestem, to wiem!

– To czemu ją zaprosiliście?

– Sama przylazła, suwnica jedna. To Beniusia aktualna laska. Co ty, Beniek, widzisz w tej szpicrucie?

Beniamin, który dotychczas bez protestu słuchał wydziwian siostry, po ostatnim epitecie postanowił interweniować. – Zejdź z niej! – zażądał zdecydowanie. – Każden jeden chłop ma prawo używać którom chce i żadna władza nie musi zara o tym wiedzieć, bo mamy pluralis i demokracje, no nie? Ten twój Grzesiu też nie lepszy, co go na parę dni puścili, to zara wracał apiac do pierdła. Dobrze, że ci bachorów nie zdążył narobić!

– To jednak Grzegorz Drąg był na przepustce. A mówiła pani przed chwilą, że nie był, bo narozrabiał i go nie puścili – Charuj zażądał uściślenia informacji od słomianej wdowy po zapuszkowanym Grzesiu.

– Bo kiedyś był ze dwa razy, chyba z rok będzie z okładem, ale ostatnio nie był. Przecie prawdę mówię jak na świętej spowiedzi, wszyscy we wsi wiedzą kiedy był, a kiedy go nie było. A ty się, Beniek, na niego nie wydzieraj, bo łun przynajmniej jest chłop, a nie ciepłe kluchy jak ty, co tej bzdziągwie Marzenie nawet przyłożyć nie potrafi!

– Topsie! – O’Mlett przerwał rozwijający się konflikt rodzinny – nie o to szem rozchodzi, ja muszy wiedzieć, co pani widziała, jak ofiar wszedł do czemne pomieścienie?

– A co mniałam widzieć? Nic nie widziałam, przecie plecyma byłam obrócona, dopirój jak Benek zawołał „flaszki nie stłucz”, to zobaczyłam jak już leżał!

– No dobrze, a widły zębami do góry przy framudze drzwi kto postawił? – wtrącił się Charuj.

– A bo ja wiem? Pewnie sam Bonawentura postawił, psecie to jego widły i jego chałupa, to co mu kto drugi miał je stawiać? Jak sam jeich tamój postawił tak i stali.

O’Mlett odetchnął głęboko i zabrał się z kolei za Mańka, niedoszłego szwagra denata.

– Panie Manek – zapytał siedzącego dotychczas bez słowa i nawet nie na kacu, trzeźwego jak świnia, bladoliciego młodzieńca – pan za stołem szedział tważą do drzwi z widłami?

– Akuratnie. Tak jak tera siedzę.

– No to prosie dokładnie, co pan wydział, jak ofiar wśed do drzwi, co oparty widły.

– Noo, podniósł się, powiedział, że tronek posiada, wszedł tamój, krzyknął och i zara poleciał na plecy, a te widły trącił tak, że pod nim się znaleźli. Ale czemu krzykł, to nie wiem, bo tamój ciemno było, a i tutaj nie za widno. Tylko tyle światła co od telewizora.

– A kto go w głowę uderzył?

– Nikt go nie bił, jak Boga kocham! Wszystkaśmy siedzieli na tyłkach! Zresztą panie, logicznie po co kto miał go lać, jak łun po bimber poszedł? Przecie kaźden jeden chciał, żeby te księżycówkie przyniósł! A poza nami, cośmy tu siedzieli, to nikogój drugiego w domu nie było! Wszystko co złe, to bez ten ankołol i że ludzie siem nie szanujom!

Charuj westchnął ponuro. – Coś nie bardzo panu wierzę, panie Maniek. Ktoś go uderzył, a sam pan mówi, że nikogo innego tu nie było, to znaczy, że uderzyło jedno z was. Innego wytłumaczenia nie ma. No więc kto? Niech pan wreszcie powie!

– Nie wiem, jak rany! Może sam się o coś walnął, tamój różne rupcie na ziemi leżą.

– Niech pan nie opowiada głupot, panie Maniek. Upadł do przodu, uderzył się o coś na ziemi, wstał i upadł do tyłu? Ja, panie Maniek, w taką bajkę nie uwierzę. Ktoś go musiał walnąć i to mocno. Duchów nie ma, a jeżeli nawet są, to na ogół ludzi nie biją!

Troje przesłuchiwanym popatrzyło po sobie niepewnie i każde z nich uciekło wzrokiem od przenikliwego spojrzenia aspiranta. Wreszcie po chwili Brenadetta wyjąkała dość niepewnie: – Tak po prawdzie, to u nasz jeden duch jest. Ja tam nie wiem, ale podobnież zdarza się, że komuś przyłoży.

Charuj parsknął śmiechem, a i O'Mlett wykrzywił twarz w jakimś nieokreślonym grymasie, gdy dotarła do niego dziwna wypowiedź siostry denata, ale opanował się i powiedział surowo, z groźbą w głosie: – Oskarżony może gadać nawet gupoty, ale szwadek nie może laid, znać... kamać, bo za to sąd i szedzenie. A pani jest szwadek i ćeba mówicz ćista prawda! Dżura w głowie nie roby żadny gaust. To ja jeście raz pitam, kto jego uderzał?

– Jeżeli nie żadne z was, to może jednak przyszedł tu ktoś obcy, znajomy czy niezajomy, a wy tylko boicie się powiedzieć? – zarykował Charuj.

– Nikogój obcego nie było, same swoje – zapewniła Bernadeta – My to byliśmy letko nawalone, ale Maniś pił mało wina, to przecież wszystko lepiej widział. I babka by zauważyła.

O'Mlett z Charujem wyprosili świadków z izby na podwórko, pod opiekę posterunkowego Pipsztaka, postanowili bowiem naradzić się i wymienić poglądy z sierżantem Brysiem, który dobrze znał miejscowe stosunki. Policjant, zaszczycony dopuszczeniem do narady z tak niecodziennym dyskutantem jak O'Mlett, przyjął za punkt honoru wprowadzenie ich w pełnię niuansów wiejskiego mikrokosmosu.

Sytuacja wydawała się bez wyjścia. Siedem osób podejrzanych w izbie, z czego cztery idą w zaparte, a trzech nie można przesłuchać, bo prokurator zlekceważył sprawę. Dodatkowo zapuszkowany mąż Bernadety, o którego losach też niewiele było wiadomo. Sierżant Bryś Marcina Plujskiego znał i bez trudu mógł go namierzyć, ale trudniej było ze Zbychu Ciulem spod Ostródy. Tego trzeba by było przesłuchać w miejscu zamieszkania, a to wymagało czasu i fadygi, poza tym nie wiadomo, czy przyniosłoby jakikolwiek skutek. Marzeny Sępiak o czynny udział w morderstwie raczej nie posądzali, bo Bernadeta tak jej nie znosiła, że podłożyłaby jej każdą świnię gdyby tylko mogła, ale widać nie mogła skoro jej nie oskarżyła.

Po rozważeniu tego wszystkiego Charuj przypomniał sobie o miejscowym duchu, ale nie ryzykował poważnego potraktowania tej informacji, a więc tylko zdawkowo i z półuśmiechem zapytał sierżanta Brysia, co o tym sądzi, nie licząc zresztą na poważną odpowiedź.

Wszelako policjant podszedł do sprawy ze zrozumieniem. – Mielim takie sygnały, że coś osobników podpitych straszy, a nawet czynnej napaści podobnie się dopuszcza, ale nie bralim tego pod czynności operacyjne. Pobicia ze skutkiem nie było, zaboru mienia także samo, to nie zachodziła podstawa do wszczęcia. A że jeden czy drugi nawalony jak meserszmit coś tam plótno bez ładu i składu, to przecie normalka w tem środowisku.

– To jednak znaczy, że jakiś niby duch grasuje?

– No, coś takiego w podobie chyba jest. Biedroń, co gospodę prowadzi, doniesienia co prawda nie złożył, ale mówił po somniedzku, że wieczorem po ciemaku jak kto wlany za potrzebą, na ten przykład, wyjdzie, to bywało, że w ryj może dostać.

– Od kogo?

– No, niby od tego ducha. Ale najczęściej to tylko biała postać się ukazuje, a jak facet krzyku narobi i ludzie wyskoczą, to już nikogój nie ma i gość na głupka wychodzi, co się na ten przykład su-

szzonego prześcieradła przestraszył. Dziwne tylko, że psy szczekają, jakby rzeczywiście ktoś był.

– A nie próbowaliście sprawdzać? – Charuj postanowił podrażnić temat, choć komisarz nie wypowiadał się, ale słuchał uważnie.

– A jak tu sprawdzisz? Trzaby się zapić na trupa, bo trzeźwych to ten duch nie rusza, a z napitych też nie każdego. Pipsztak rok temu po weselu siostry próbował. Nawalony był jak stodoła, jak to na weselu, ale regulaminowo zameldował, że będzie sprawdzał. No to pozwoliłem. Chodził po nocy, łąził, nogi przemoczył i ni cholery. Wolne mu musiałem dać, żeby grypy jakiej nie dostał.

Milczący dotychczas i sceptyczny O'Mlett uaktywnił się nagle.

– A ten diuch, to może bycz jaki dawno nieżywy kto? – zapytał sprowadzając rzecz w bardziej realne ramy.

– Ja tam detalicznie nie wiem i chyba nikt nie wie, ale baby po wsi gadają, że to straszy niejaka Apolonia Gżyp, co ją przed weselem nieznane sprawcy welonem udusili. Podobnież to przez wódkę się stało, bo gdyby narzeczony z bratem nie poszli pić po krzakach, toby nikt do niej dostępu nie miał. Przez to na pijaków taka cięta. Jej brat, ten Maniek, cośmy go dzisiaj przesłuchiwali, takie miał wyrzuty sumienia, że do zakonu podobno chciał iść i nawet nie żeniaty do dzisiaj. Sam trochę pije, ale tylko z musu, żeby od społeczeństwa nie odstać.

– To jak kobita, ten diuch, to ono użiwa narzęda do bicia? Ja nie słyszałem, żeby dusia użiwała narzęda.

– Za życia używają, na przykład wałka albo tłuczka do kartofli, to dlaczego miałyby nie używać po śmierci – zażartował aspirant.

– Nie ustalilim, czy używa narzędzia. Nikt dotychczas nie meldował – uściślił sierżant.

– A jest we wsi ktoś taki, na kogo ten duch napadł?

– Jest. Chociażby Papugaj Józef, co go podobież tak sztachetą pogoniła, że do szamba wpadł. Niedawno, z miesiąc temu będzie.

– A porozmawiać z nim da się?

– Niby, przysłuchać zapodanego? – sierżant wyraźnie obawiał się, że oficjalne wezwanie wystraszy ofiarę napaści i facet się dla pewności zatnie.

– Nie, porozmawiać. Tak po sąsiedzku, przecież on nie jest świadkiem w sprawie, to nie będziemy go przesłuchiwać – uspokoił Charuj. – Ot, pogadamy i wszystko. Może czegoś się dowiemy. Pogawędzimy sobie we czterech gdzieś na boku, może być jutro rano, bo dzisiaj już za późno.

Wrócili do Warszawy, bo było niedaleko, raptem niecała godzina drogi, a spać woleli we własnych łózkach. Rankiem Charuj zadzwonił do Ostródy i zlecił ustalenie miejsca pobytu Zbycha Ciula

ksywa „Szpica” i przesłuchanie go w charakterze świadka na okoliczność zdarzenia podczas feralnego wieczoru w Papuciach Starych. Później zadzwonił do Kłakowa i kazał ustalić, w jakiej agencji towarzyskiej pracuje Marzena Sępiak, ale zrobić to delikatnie żeby jej nie wystraszyć, bo mogłaby się gdzieś ulotnić i potem szukać wiatru w polu. Telefony zajęły mu godzinę, po czym obaj z O’Mlettem wsiedli w swoją starą mazdę i udali się do Papuci Starych, gdzie od świtu czekał na nich sierżant Bryś w towarzystwie jakiegoś chudego czterdziestolatka.

– To jest pan Józef Papugaj, gospodarz stamtąd, ooo, spod lasa.

– Policjant przedstawił towarzyszącego mu mężczyznę, wskazując jednocześnie ręką w stronę pobliskiego zagajnika.

– Dzeńtopry, pan Józef. My tylko chcę pogadywacz o diuchi. – Układnie przywitał go O’Mlett, przedstawiając jednocześnie zasadniczy cel wizyty.

– My do pana nic nie mamy, chcemy porozmawiać tak trochę... no... prywatnie – Charuj szczególnie podkreślił ostatnie słowo widząc, że chłop z lekka zeszytniał i ma rozbiegane oczy. – Czy to prawda, że miał pan spotkanie z tym... że tak powiem, duchem, co się panu podobno ukazał?

– Nooo, niby – poświadczył mężczyzna z zakłopotaniem, po dłuższej chwili milczenia, prawie nie otwierając ust.

– Mówta Józefie, co wieta. Tu całkiem nie o was chodzi, tylko o kogoś drugiego, co go nawet pewnie nie znata! – sprecyzował sierżant Bryś chcąc otworzyć chłopu usta zaciśnięte w niemym oporze.

– Taa! Akurat. Powiem co bądź, a wy mnie potem będzieta ciągalu po prekuratorach. Przecie kaźden we wsi wie, że chodzi wama o Bonka Glizdola, bo po to żeśta przyjechali. To ja jego niby miałbym nie znać? Oszukujta se kogo innego, ja tam nic nie wiem. Może cosik tamój widziałem, a może nie widziałem. Mało to człowiek widzi, jak się ździebko napije?

– Jak Boga kocham, nigdzie nie będziemy pana ciągać. Nie chodzi nam o to, co się tutaj trzy dni temu wydarzyło, tylko o tego ducha sprzed miesiąca! – Charuj usiłował nie dopuścić do tego, aby się rozmówca definitywnie zaciął, bo jak na razie widać było, że choćby mu wpuścić głodnego szczura w spodnie, to z dobrej woli nic nie powie.

– No, dobra. – Gospodarz zgodził się w końcu po namyśle. – Ale o cym tu gadać? Szłem se ciut napity od gospody, za stodołami, na przetaj, ciemno było, a tu na polu jakieś białe stoi i niby rękami macha. To stanąłem i se myślę – co to? Do głowy mi przyszło, że to może od Walusiów Gieńka w kosuli na pole wyskoczyła, bo jom znowu stary leje, ale nieee! Gieńka gruba, a toto chude jak jaki

janioł. I Gieńka by się darła, a tu cicho! Wtem toto nagle znikło, no to ja już się ciut przeląknęłam, obróciłam się i nazad wracam, a tu jak nie rąbnie mnie coś w łeb śtachetą...

– A skąd wiecie, że śtachetą? – spytał sierżant.

– A cym? Nic innego tam wokoło nie było, tylko płoty ze śtachetów, jak wszędzie i kapusta Walusiów na polu!

– No i co potem?

– A nic! Zagibałem się tak jakoś, potknęłam o coś i do szamba wpadłem, bo pewnie nie było przykryte. Copkę żem gdzieś zaciął, guza miałem jak śliwka, to moja stara zara na posteronek poleciała, że mnie pobili, tylko nie wiada kto! Tak było, niech sierżant poświadczom!

– A to coś, co pana uderzyło, to przedtem znikło? Jak to znikło? Tak samo z siebie?

Pytanie aspiranta zawisło w próżni i nie skłoniło mężczyzny do próby udzielenia rzeczowej odpowiedzi. Wzruszył ramionami w niemej bezradności i w tej pozycji przez minutę pozostał.

– Hm. No to jak pan myśli, kto to mógł pana uderzyć? – Charuj po dłuższej chwili zmienił temat.

– A bo ja wiem? Wychodzi, że chyba ten duch... Przecie nie mnie pierwszemu przyłożył, że trzy miesiące temu nazad Kabulaka z trachtorem na prostej drodze do rowu zegnał, zara za gospodą,

będzie stąd ze sto metry! Kabulak nawet nogie sobie przetrącił i w gips mu wzieni. Do dzisiaj dnia jesce kuleje.

– To ten Kabulak po pijanemu traktorem jechał? – Uśmiechnął się Charuj.

– A tam zara po pijanemu! Zdziebko był napity, ale jeszcze chodził. Z gospody przecie sam wyszedł, nikt mu nie pomagał. Na trachtur sam usiadł, klucykiem w stacyjkie także samo sam trafił. Nie od razu, ale trafił choć ciemno było. Jak go potem spod tego traktora wyciągli to opowiadał, że zjawą mu się raptem pokazała i nie szło jej ominąć. No i tak jakoś wyszło, że się znalazł w rowie.

– Prawda, tak zeznawał. – Całkiem poważnie potwierdził sierżant Bryś, nie czując widocznie lekko kabaretowej nuty w tej opowieści – ale nie dali my mu wiary.

Charuj nawet nie zapytał o to, jakie sankcje spotkały sprawcę wypadku, no bo w końcu niewiele go to obchodziło, ale O'Mlett zainteresował się wydarzeniem.

– A jak dużo promyla posiadawał?

– Znaczy ankoholu? Nie badaliśmy bo alkomat nam się zepsuł. Baterii chyba akurat nie było, albo coś tam. Już nie pamiętam. Ale czy to teraz ważne?

– Nie ważne. A z traktorem co się stało?

– Nic. Koniamy wyciągli. Trochę był zarysowany, ale nawet ropy za dużo nie wyciekło, znaczy się do skażenia środowiska nie doszło.

Cóż było robić, informacje były niejasne, enigmatyczne i nie zaostrzały obrazu zarówno samego ducha, jak i realnych przestępstw jego działalności. Podziękowali więc gospodarzowi, pożegnali, uścisnęli mu spracowaną dłoń, którą potem on dla pewności dokładnie wytarł o portki i wrócili do rezydencji rodu Glizdólów.

Babka przyjęła ich wylewnie, jak rodzoną ciotkę. Nikogo poza nią w chałupie nie było, bo Beniamin udał się do zajęcia w spółce „Bestlongszpagat” w Zagrychach, a Bernadeta pojechała rankiem na targ do Kłakowa i według relacji babki miała wrócić południowym autobusem.

W tej sytuacji Charuj zasugerował O’Mlettowi przesłuchanie Marcina Plujskiego, który był pracownikiem tej samej firmy co Beniamin i uczestniczył w tragicznej kolacji od jej początku aż do niespodziewanego końca.

Sierżant Bryś zaproponował, żeby pojechać do tej spółki w Zagrychach, bo to da lepszy efekt, niż wzywanie Plujskiego na posterunek, a dodatkowo zaoszczędzi sporo czasu. – To niedaleko, tylko ze trzy kilometry będzie i droga sucha, bo tera upały. A jakby go wzywać, to nie na dzisiaj i zapodany będzie miał czas żeby się

gdzieś schować, a my będziemy mieli kłopot – krótko wyjaśnił swoje stanowisko.

Na tym stanęło, bo i O'Mlett wołał mieć materiał informacyjny jak najszybciej, a nie siedzieć i czekać w dusznej chatupie nie wiadomo na co.

Przybyłych przyjął prezes spółki „Bestlongszpagat” w towarzystwie dwóch ochroniarzy, z których jednym był Benjamin Glizdol, a drugim Marcin Plujski, który usłyszawszy o co chodzi, bez oporu zgodził się natychmiast udzielić wszelkich informacji. Prezes pozostawił policjantom do dyspozycji własny gabinet znajdujący się w najmniej zaśmieconym rogu baraku i przystąpiono do przesłuchania w kącie za szafą, aby osłonić przesłuchiwanego przed ciekawym wzrokiem zagląających przez okno pracowników.

– Jak żem usiadł po południu, tak z krzesła żem się nie ruszył – wyjaśnił na wstępie Marcin Plujski – dopirój jak Bonek na plechy poleciał, to żem się podniósł, bo przez butelki, co na stole stojali, nie widziałem jak leżał.

– A czemu się przewrócił? – spytał Charuj.

– Naprany był, to miał prawo, nie?

– Ale za tymi drzwiami kto go uderzył?

– Nikogój tam nie było! Coś zawołał, jakby uch, cfańnął się i poleciał. Przecie jak ktoś pana od przodu walnie, to zdąży pan krzyknąć,

kto to, nie? No i kto by tam miał być, jak wszystka żeśmy w pokoju byli.

– Może coś zobaczył, albo kogoś. Pan nikogo nie widział w tych ciemnych drzwiach?

– A kogo? Ducha? Przecie to tylko babskie gadanie.

W końcowym efekcie przesłuchanie nie przyniosło żadnego skutku. Wrócili z tych Zagrychów tak samo głupi, jacy tam pojechali. Nie było powodu, aby nie wierzyć Plujskiemu, bo nie miał żadnego interesu w tym aby kłamać. Powtórzył dokładnie to, co mówili dotychczas wszyscy inni z babką na czele. W tej sytuacji postanowili poczekać na wyniki poszukiwań i przesłuchań w Ostródzie i Kłakowie, a dopiero później naradzić się nad dalszym postępowaniem. Wrócili do Warszawy i zjedli zasłużony obiad.

Nazajutrz Charuj zadzwonił do Wronek i dowiedział się, że osadzony Grzegorz Drąg przykładnie kibluje, w ciągu ostatniego roku nigdzie nie wyjeżdżał i chwilowo nie ma żadnych szans na jakąś przerwę w odbywaniu kary.

Następnie odezwała się Ostróda. Miejsce pobytu Zbycha Ciula, pseudo „Szpica”, ustalono bez problemów i natychmiast osobnika przesłuchano na okoliczność wydarzeń w Papuciach Starych. Jako że był on postacią dobrze znaną miejscowej policji, to maglowano go siedem godzin, niestety, bez żadnego skutku. Do udziału

w morderstwie się nie przyznał, a przebieg wypadków opisał tak samo, jak i wszyscy inni.

Natomiast komenda w Kłakowie poinformowała, że Marzena Sępiak zatrudniona w bliżej nieokreślonym charakterze w połączonej z domem noclegowym restauracji „Zagłupianka” od trzech dni nie podjęła zajęcia i nie ma jej również w miejscu zamieszkania. Miejscowy posterunek zbiera informacje, co się z nią ewentualnie stało, ale czynności mogą dłużej potrwać z uwagi na brak ludzi, sprzętu i benzyny.

Co do Grzesia Drąga i Zbycha Ciula O’Mlett spodziewał się takiego obrotu sprawy i nie liczył na uzyskanie jakichś szczególnych rewelacji, natomiast zniknięcie Marzeny Sępiak nieco go zaniepokoiło. Była osobą blisko związaną z rodziną Glizdoli, chociaż nie przez wszystkich jej członków szczególnie lubianą. Było mało prawdopodobne, aby miała jakiś bezpośredni udział w pozbawieniu życia Bonawentury Glizdola, a i motywu trudno by się było doszukać. Zresztą w czasie pamiętnej kolacji siedziała z dala od drzwi do komórki i nie ona uderzyła ofiarę w głowę ani nie pchnęła go widłami. Mimo to jej zniknięcie mogło świadczyć o tym, że coś w tej sprawie śmierdzi. Wynikało to raczej z przeczcucia niż oceny dowodów, toteż O’Mlett podzielił się nim tylko z Charujem.

– Mnie też coś tu nie pasuje – potwierdził aspirant. – Jestem za stary wróbel w tej robocie, aby uwierzyć, że oni wszyscy są tacy święci. Proponuję zacząć od ustalenia, kto odniósł, albo mógł odnieść korzyść z jego śmierci. Is fecit cui prodest, jak zwykli mawiać starożytni Rosjanie.

– Ociwisto brat Beniamin, bo dostawa prawie całego spadka – mruknął komisarz.

– Częściowo siostra Bernadeta, bo chociaż mają z zapuszkowanym mężem własną gospodarkę, to od przybytku głowa nie boli.

– Babka to nic nie wygrywuje. Żaden korzyść. – Stwierdził O'Mlett.

– Fakt. Zbychu Ciul i Marcin Plujski też niczego by nie osiągnęli na zmianie osoby głównego spadkobiercy, jak również Maniek Gżyp, ale ten mógłby ewentualnie kierować się chęcią zemsty za śmierć siostry na narzeczonym, co jej nie upilnował – spekulował Charuj.

– Może, ale lasiego teraz, po pięciu latach? Taky z onego straszny killer? Ja topsie nie znam waśy polskie stosunki, ale on wigląda spokojny człowiek.

– A czemu nie? Z wyglądu to rzeczywiście aniołek, co to nie pije, nie pali, a jak dupę zobaczy to się czerwieni, ale tacy bywają najgorszi. Ja bym go tak zaraz z indeksu nie skreślał. Trzymał się tej rodzi-

ny właściwie nie wiadomo po co. Prawdę powiedziawszy powinien mieć do nich żal o siostrę, może nieusprawiedliwiony, ale zawszeć.

– Może masz rację, Charuj. No to zostawa nam jeszcze ta Mażanna Sępiak, co znikła. Mnie się ona nie podoba. Nikt nie goni, a ona uczeeka, to taka objawa co daje podejrzewać różną możliwoszcz.

– No to podsumujmy. – Aspirant wyliczył podejrzanych na palcach. – Beniamin, siostrzyczka Bernadeta, Maniek Gżyp i Marzena Sępiak. Teraz po kolei: które mogło go zabić, a które z nich nie mogło. Techniczne możliwości wszyscy mieli jednakowe, ale motyw miało tylko rodzeństwo, bo chodziło o spadek. Pozostała dwójka motywu nie miała, albo przynajmniej na razie go nie znamy.

O'Mlett myślał przez minutę, wreszcie powiedział z ociąganiem, jakby nie był pewien własnej koncepcji: – My musimy paczać do tyłu. Daleko do tyłu. Dobrze by wiedzieć, dobrze poznawać sprawa czemu uduśona ta narzecona. To może być sentral point ten cały komplikejszyn... Co ty myślisz?

– Można, ale to nam nie wyjaśni, jak zatłukli tego Glizdola, a po to tam pojechaliśmy.

– Ofiar deed od dżabnięcie psiez widły, ale to był wipadek. Psiedtem on udeżony narządem w głowę i to nie był wipadek, tylko dżatanie zabójca. Tak?

– Tak.

– No. Ten co udeżał, jeżeli wcześniej schowany w kanciapa, to musowo premedytacja. A jeżeli premedytacja, to dawniej uknute. Pitanie, jak dawniej. Może wócoraj, a może parso dawniej i tylko czekał okazji! No to ćeba pogrzebywać w psieśtoszcz, od kogo uduśona narzećona, yes?

– Yes. To było pięć lat temu i sprawę umorzono, może nie być akt, ale kupił nie kupił, potargować można.

Pojechali do Papuci Starych w nadziei, że uda się im odkopać starą sprawę, a przynajmniej zebrać informacje od sierżanta Brysia, które rzuciłyby na nią jakieś światło. Policjant wysłuchał ich żądań z wąpiącym wyrazem twarzy.

– Notatków z tego nie znajdziem, bo wszystko co było, to dawno odesłali do prekuratury. Ja tu na komendanta przysłem pół roku później, po Klawiszuku, co wybył na emeryturę, a przedtem z rok chorował, tak że Pipsztak był sam, no, jeszcze z takim jednym, co go za ankoholizm wykopali, a un gdziesik na motorze potem się zabił.

– To może Pipsztak coś ze sprawy pamięta?

– Może pamiętać, choć młody był, jeszcze całkiem zielony, dopiero po kursie.

Pipsztak niewiele pamiętał, a być może nie bardzo chciał pamiętać, bo po miesiącu służby z miejsca dostał sprawę o zabójstwo, której nie potrafił ugryźć i zależało mu przede wszystkim na

tym, aby się bezboleśnie z niej wypłatać. Powracanie do niej było mu strasznie nie na rękę. Pozostawili go wtedy samego, powiat miał tylko pretensje, a prokuratura totalnie olewała sprawę, bo miała na głowie poważniejsze zagadnienia.

– Panowie, co ja tam pamiętam – wyjąkał – rankiem ciotka taka jedna, przyszywana, jom znalazła, co miała być na weselu za kucharkie. Książdz jom wysłał i znalazła. Zara wezwali pogotowie i zameldowali na posteronek, to migiem przyszedłem. Do powiatu zadzwoniłem, ale mi powiedzieli, że na razie som zajęte i mam sam za śledczego robić, a co ustalę, to jeim przestać. No to ustaliłem, że z wieczora druhny weselne u niej byli, a detalicznie Anka Zanawieska i Marzenka Sępiak, bo sukienkie przymierzali. Przesłuchałem jeich na okoliczność, to potwierdzili, że faktycznie przymierzali, ale Anka wyszła spotkać się z takim jednym z Bagienników, co z niom chodził. A Marzenka podobnież także samo wybyła razem z niom i też se poszła, ale w drugom strone. Ot i wszystko.

– A ekipy z powiatu nie przysłali? – spytał Charuj.

– A był taki jeden podkomisarz po południu, jeszcze z jednym po cywilu. Popatrzył, nic nie dał ruszać, a mnie kazał pilnować, bo baby siem tu pchali drzwiami i oknami. Pokrzyczał zdziebko, zabrał moje notatki, co je napisałem i pojechał. Dopiero wieczorem przyjechali z sądówki i jom zabrali do Kłakowa.

– A lekarz z pogotowia zgon stwierdził? Prokurator był?
– Na oczy prekuratora nie widziałem!
– To może ten drugi, co z podkomisarzem przyjechał, to był prokurator?

– A bo ja wiem? Rządził podkomisarz.
– Tego osobnyk z Bageniki, co chodził z Anką, śukacz nie kazali?
– Spytał O’Mlett.

– Nic nie kazali! Krzyczeli tylko żeby pilnować aż zwłoki zabiorą i ludziom nie dać wchodzić, bo ślady zadepczom. Ale tam nijakich śladów nie było, a nawet jakby byli, to by baby dawno wszystko rozdeptali zanim przyszedłem.

– Jakąś rodzinę poza bratem to ona miała? – Charuja zastanowił brak informacji o najbliższych ofiary.

– Matkę miała, w Zagrychach mieszkali z synem, ale ona od dwóch lat nie żyje, zawał miała jakiś, czy coś.

– A tak w ogóle, to gdzie ją zabili? W czym domu?

– Jak to, gdzie? Tu! W chałupie u Glizdoli, tylko w kuchni, nie w pokoju.

Aspiranta zaskoczyła ta informacja. – Jak to? Panna młoda na ogół w domu rodzinnym do ślubu się szykuje, a ona u narzeczonego?

– Bo podobnie z matką o ten ślub się pożarli i Marzenka jej narażała, żeby u Bonka tę sukienkę przymierzać. Mnie też wydało się to dziwne, ale co ja mam do tego. Stąd do kościoła było bliżej, bo z Zagrychów trzy kilometry po błocie.

Mimo wszystko rozmowa ze starszym posterunkowym Pipsztakiem jednak coś dała. Po pierwsze potwierdziła, że Marzena Sępiak była druzną zmarłej, po drugie ujawniła, że śledztwo prowadzono niedbale i przeoczono różne fakty i okoliczności, po trzecie wreszcie postawiła osobę Sępiak w niekorzystnym świetle, jako potencjalną sprawczynię zmiany planu uświęconych tradycją przedweselnymi przygotowań panny młodej.

Prokuratura w Kłakowie szczęśliwie przechowywała akta sprawy niewykrytego zabójstwa w Papuciach, więc następnego dnia O'Mlettowi udało się do nich zajrzeć. Archiwista dziwił się trochę, że komisarz wyciąga nic nieznaczącą sprawę sprzed pięciu lat, szukając w niej enigmatycznych powiązań ze śmiercią faceta, który cztery dni temu nadział się na widły, ale nic niestosownego starszemu stopniem nie powiedział i teczkę ześwirowanemu Amerykaninowi udostępnił.

Dokumentacja była cieniutka, zawierała raptem trzy kartki na krzyż z wpiętą na wierzchu decyzją o umorzeniu śledztwa na skutek niewykrycia sprawcy. Lakoniczny protokół z sekcji zwłok stwier-

dzał, że przyczyną śmierci było zadzierzgnięcie pasem muślinu stanowiącym ślubny welon i nie zawierał żadnych danych o stanie organów wewnętrznych ofiary. Widać patolog nie miał dobrego dnia, a prokuratorowi sprawa zwiśla martwym kalafiolem.

O'Mlett z Charujem przejrzeni tę teczuszkę trzy razy od deski do deski i nie doszukali się niczego konkretnego.

– Wielkie zero czyli nul. A nawet dwa zera. – Z dezaprobatą stwierdził aspirant.

– Czekawo, czemu doktor nie piše o możliwość gwałta, ani ci ona psipadkiem nie buzie... baziem... bżeźm...

– Brzemienna? – Podsunął Charuj.

– Yes. I lasiego brak zeznawania od żadne szwadki!

– Fakt. To w ogóle wodewil, nie śledztwo. Ale tak czy owak robimy ksero i zabieramy. Na razie to do niczego, ale może z czasem do czegoś się przyda. Dasz zlecenie, szefie?

– Daś. Kolera by to wzięła! – O'Mlett dał wyraz swojej bezradności.

– No to proponuję wrócić do firmy, usiąść i pomyśleć. Nie mamy czego szukać w tym Kłakowie, no, chyba że skoro już tu jesteśmy, to może zajrzeć do tej „Zagłupianki” i popytać o Marzenę Sępiak?

„Zagłupianka” mieściła się w drewnianym budynku wzmocnionym pustakami, stojącym w niewielkiej uliczce, przylegającej z jednej

strony do głównej arterii miasta, a z drugiej – kończącej się w kartoflach. Szef i właściciel instytucji, ospowaty, bykowaty trzydziestolatek z rozbieganymi oczkami przerażająco konsekwentnie usiłował nie odpowiedzieć na żadne pytanie. Wisząca na nim dziewczyna w skąpym odzieniu, które za wszelką cenę miało uczynić ją bardziej atrakcyjną, obojętnie żuła gumę, co chwilę poprawiała włosy ufarbowane w kontrastujące pasma i spod oka obserwowała policjantów.

– Ja tam nic nie wiem, bo biznesa prowadzę i nie mam czasu na pierdoły! – wyjaśnił na wstępie kwadratowy młodzieniec, zanim zdążyli zapytać go o cokolwiek.

– No ale Marzenę Sępiak pan zna, bo u pana pracuje. – Stwierdził Charuj.

Towarzyszka młodzieńca lekko zeszytniała i odwiesiła mu się z ramienia.

– Tyle ludzi znam, że sam nie wiem kogo znam, a kogo nie znam. Może i znam. W biznesie człowiek nie ma czasu siem wysusiać, a co dopierój myśleć, kogo zna.

– Ależ ona przecież u pana pracuje!

– Pracuje czy nie pracuje, abo ja wiem! Taka tam praca. Ma życzenie, to pracuje. Pewnie, każdy chciałby, ale to jest biznes. Ja tam nie mam głowy żeby wiedzieć o każdym! Bela, idź siem przejdź, nos sobie upudruj, co tak tu, kurna, stoisz?

– No a teraz jest w robocie? – Aspirant postanowił nie ustępować.

– Pojęcia nie mam! A jaka ta Marzena? Taka ruda co sprząta tu czasami? Bo jak taka ruda, to jej nie ma.

– Nie jest ruda, blondynka.

– Może siem ufarbowała, he he. Panie, kobity to co dzień w innym kolorze, nie znasz pan życia? Jak nie ta, to ja nie wiem która. Może ją i kiedy widziałem, ale ja biznes prowadzę i za fryzuramy się nie obglądam.

Widać było, że bez podłączenia do gniazdka facet nic nie powie.

Wizyta w „Zagłupiance” nic nie dała, więc wsiedli w samochód i wrócili do komendy. Tam zrobili sobie potężną, dubeltową kawę celem uaktywnienia szarych komórek i zasiedli do snucia najbardziej irracjonalnych założeń bo spostrzegli, że logicznie takiego wężła gordyjskiego ugryźć się nie da.

Przeanalizowali krok po kroku wszystko, co dotychczas wiedzieli na temat nagłej śmierci Bonawentury Glizdola i po godzinie doszli do wniosku, że ofiarę walnąć w głowę mógł tylko duch, bo działalność kogokolwiek z żyjących była wykluczona. Nawet gdyby założyć, że ktoś tam wszedł i się zaczął, to przecież później musiałby jakoś wyjść. Wszystko również wskazywało na to, że nadzianie się delikwenta na widły nie było działaniem przez „ducha” zamie-

rzonym, lecz jedynie dziełem przypadku i skutkiem zaburzeń równowagi spowodowanych nietrzeźwością.

Skoro tak, to należało jak najwięcej dowiedzieć się o „duchu” i o jego żywocie doczesnym oraz o wydarzeniach i osobach towarzyszących jego dematerializacji.

Jasne było, że „duch”, jeśli w ogóle istnieje, nie jest ciałem astralnym lecz osobą realną i w związku z tym musi mieć mniej lub bardziej usprawiedliwione motywy. Przy takim założeniu pozostawała do wyjaśnienia tylko kwestia, jak on to zrobił i co nim powodowało.

Po sprecyzowaniu tej tezy spostrzegli nagle, że nie osiągnęli właściwie nic, bo to samo wiedzieli już od samego początku. Mając to na uwadze Charuj uczulił O’Mletta, by relacjonując przełożonym postępy w śledztwie nie wspomniał przypadkiem o duchu jako o podejrzanym, bo na pewno ta koncepcja nie spotka się z zrozumieniem.

– Yes, inspiktor powi, że ja amerikansky szwyr. – Zgodził się komisarz.

Następnego przedpołudnia, gdy przyjechali do Papuci Starych, zaskoczyła ich niespodziewana wiadomość, że duch pojawił się znowu. Nikogo, co prawda, niczym czynnie nie znieważył, ale ukazał się, i to dwóm osobom na raz, co nigdy dotychczas nie miało miejsca.

Już dojeżdżając do wsi zobaczyli kilka kobiet modlących się pod kapliczką na rozstaju, ale nie powiązali tego faktu z niczym niepokojącym. Zbliżał się czas żniw, a więc modlitwa o lepsze plony lub dobrą pogodę była rzeczą normalną.

Sierżant Bryś wszelako, rozgorączkowany i na przemian czerwony i blady, powitał ich pełen niepokoju.

– Ducha w nocy miałem! – Oznajmił bez wstępu.

– Przyłożył komuś? – z półuśmiechem spytał Charuj.

– Nie, Kitwasiński wiół Makucha furmanką i ta biała dusza im się ukazała. Podobnież koń się wystraszył, wierzgnął i dyszel złamał, a Makuch zleciał z wozu i rękie se przetrącił. Teraz jest w przychodni w Kłakowie, bo rano pojechał, a Kitwasiński w domu leży i się trzęsie.

– A czemu oni po nocy po wsi furmanką jeździli?

– Kitwasiński tuczniaki na skup odwoził, wracając Makucha spotkał, to go zabrał i po drodze do Biedronia do gospody wstąpili. Długo im zeszło i dopiero nocą wracali, a Makuch taki był nawalony, że we furmance zasnął. Kitwasiński też przysypiał, ale jak ona im się pokazała, to z miejsca trzeźwy się zrobił jak jego koń! Jak panowie chcecie, to pogadajcie sami z Kitwasińskim. Kaca pewnie ma, ale już do rzeczy mówi. Ooo, to tamten czwarty dom z żółtym dachem, co przed obejściem brama otworzona.

Cóż było robić, poszli. Układnie przeprosili gospodynię, że może nie w porę, ale okoliczności i tak dalej, no i jakoś dobrnęli do Ki-twasińskiego w łóżu boleści.

Chłopina wystraszony był nie na żarty. – Panowie – powiedział słabym głosem – jak czterdzieści łosiem lat żyję na tem bożem świecie, tom na łocy takiej dusy jesce nie widzioł! Człowiek przecie wi, że duśycki różne som, ale żeby zobaczyć? To nie do pojęcia!

Aspirant postanowił delikatnie pociągnąć wystraszzonego chłopa za język, ale bał się go spłoszyć, więc jak gospodynii zaproponowała herbatę, to we trzech z O'Mlettem i Brysiem zasiedli obyczajnie za stołem i przez kwadrans rozmawiali o niczym udając, że raczą się wybornym smakiem napoju. Wreszcie Charuj powrócił do zasadniczego tematu rozmowy.

– A pamięta pan, jak ona wyglądała i skąd się wzięła?

– A taka jakaś biała, rozwiana jakby wichur dął. A wzięła się? A bo ja wiem, nie było i raptem była i jus!

– A może to ktoś w koszuli albo w czymś białym po ciemku przebiegał?

– Panie, gdzie tam by kto psebiegał po nocy! Ja to byłem napity, mogło mi się psewidzieć dajmy na to, ale kuń! Panie, kuń się znarowił! Zaczun wierzgać, dysel złamał, szore z łorcyka urwał prec! Kunia nie idzie osukać, psecie un tseżwy!

– Pan Makuch też ją widział, tę zjawę znaczy?
– Franek to nic nie widział, bo spał.
– Razem z panem na koźle siedział i spał?
– Gdzie na koźle! Uwalił się we środku, na tej ściółce po tucni-
kach i tamój spał. Dopirój jak go z woza wyrzuciło to się rozbudził,
bo se rękie obtłukł i pyta, co siem stało!

Wydawało się, że O'Mlett z Charujem mają już pełny obraz zda-
rzenia i więcej z ofiary spotkania z duchem nie wyciągną, pożegna-
li się więc, podziękowali i wrócili na posterunek.

Kobiety pod kapliczką modliły się dalej, ale po bliższym przyj-
rzeniu okazało się, że modły nie dotyczą powstrzymania nadciągają-
cej pory burz, lecz odprawiane są na okoliczność spokoju duszy
straszącej na drodze. O szczególnych intencjach świadczyła, po-
wtarzana jak mantra między zdrowaśkami, błagalna prośba starej
Kłepowej, aby tych Glizdolów co najrychlej najjaśniejszy szlag tra-
fić raczył.

– A co ksiądz mówi na tę historię z duchem? – Spytał Charuj
sierżanta, gdy ten odniósł się dość obojętnie do przejawów nie-
chęci reprezentowanej wobec rodziny zabitego przez baby pod
kapliczką.

– Co ma mówić? Z ambony do chrześcijańskiego opamiętania
nawołuje, ale najbardziej do aktywniejszego składania ofiar na

dzwonnicy, bo podobno gdzie głos dzwonów dochodzi, tam złe duchy nie mają przystępu.

Wynikało z tego niedwuznacznie, że działalność ducha póki co wychodziła księdzu na korzyść i intensywniejsze zwalczanie zjawy nie leżało w jego interesie, przynajmniej do czasu zbudowania dzwonnicy.

W południe wrócił z Kłakowa Franciszek Makuch. Powiesili mu rękę na temblaku i przez tydzień tak kazali nosić, więc nie był tą sytuacją zachwycony i zaraz udał się do gospody. Tam, w naprędcie zorganizowanej konferencji prasowej, dał wyraz swojej dezaprobachie dla nieodpowiedzialnych poczynań ducha i z wdzięcznością przyjął postawionych mu parę kolejek jako przejaw solidarności zdecydowanie żywych i nie wylewających za kołnierza.

– Cała była biała, niby w komży jakiej, a wielga była, ooo, na półtorej chłopa! – Makuch pod wpływem wychylanych klinów intensywnie ubarwiał konfrontację z duchem, wspierając się zdrowym ramieniem o szynkwasa. – Ino ćwarzy nie było nic widać!

– A coś ty mógł widzieć, jakżeś spał? – powątpiewał któryś ze słuchaczy, znający widać wcześniejszą relację Kitwasińskiego. – Psecie naprany byłeś na śtywno, jak kłonica!

– Alem z mety łotrzejwiał. Ty byś też łotrzejwiał, choćbyś się w trupa zaprawił! Nie bój się! Cłowiekowi z głowy cały ankoholizm zara paruje przez włosy, bo dęba stajom jak takie coś zobaczy.

– A tobie co stanęło, jak w połowie jezdeś tysy?

Wybuch śmiechu rozładował na chwilę narastający konflikt, ale docinki jednych tylko zaostrzyły święte oburzenie drugich i spór z dysputy filozoficznej zmienił się w normalną pyskówkę.

Stuchacze rychło podzielili się na dwa obozy, ale liczniejsza partia przekonanych skutecznie zakrzyczała frakcję niedowiarków, wymyślając im od niewiernych Tomaszy, Judaszy, a nawet ancyrystów. Na konflikcie wygrał jedynie Biedroń, któremu średnia spożycia tego dnia wybitnie wzrosła.

Charuj po zastanowieniu doszedł do wniosku, że ostatni wypadek potwierdza ich wcześniejszą teorię, że duch nie jest ciałem astralnym lecz kimś zdecydowanie żywym i do tego myślącym w miarę logicznie.

– Popatrz – powiedział do O’Mletta – jaki ten duch jest ostrożny. Zawsze atakuje tylko samotnych pijaków, zaprawionych do nieprzytomności. Nigdy dotychczas nie ukazał się w większym towarzystwie. Poza tym zawsze wybiera ciemne, bezksiężycowe noce i pogodę bez deszczu.

– Ale fćoraj pokazywał się for Kytwaszynsky end Makiuch, znać dwa ludzie, a nie jeden samotny pijak.

– Tak, ale mógł nie wiedzieć, że jest dwóch, bo Makucha nie było widać. Spał na wozie między dechami. Noc była ciemna,

chmurna, ale bezdeszczowa. Idealne warunki. Może by tak poku-
sić się o portret psychologiczny tego ducha? Co o tym myślisz?

Po powrocie do komendy spotkali się półprywatnie z kolegą
psychologiem, co do którego mieli pewność, że nie rozpapla za-
gadnienia. Ten po wysłuchaniu wszelkich dostępnych informacji
doszedł do wniosku, że „duch” to żywy człowiek, mężczyzna, ra-
czej miejscowy i mający stały wgląd w przebieg wydarzeń, dość
młody i sprawny fizycznie, o IQ powyżej 70, brutalnie potraktowa-
ny przez los i mający obsesję na jakimś punkcie, być może z przy-
musu stroniący od alkoholu, ale cierpiący z racji tego ograniczenia.

– Ktoś albo coś, jakieś wydarzenie w jego życiu, potężnie na-
stąpiło mu na odcisk i w związku z tym jego zachowanie można
traktować jako formę zemsty względnie misję, do pełnienia której
poczuł się powołany. Kojarzycie? Dał wam coś ten portrecik? – za-
pytał kolega psycholog, gdy w końcu postawili mu kawę i zwolnili
od myślenia.

– A ci on może być morderzec od nasz ofiar? – Doprecyzował
O’Mlett.

– Raczej nie – z powątpiewaniem odrzekł kolega psycholog. –
Jest na to za ostrożny i, jak sami to zauważyliście, unika osób trze-
cich, dlatego zakładam, że to raczej wyrachowana zemsta z jego
strony, a nie jakaś misja.

– Pasuje ci ktoś do tego portretu? – Zapytał Charuj komisarza, gdy pożegnali się już z kolegą. – Mnie najbardziej pasuje Maniek Gżyp. Występujemy o przeszukanie w jego chałupie?

– A pod jakim zażutem? Że roby ducha? Prokiurator nas obzmeje. I co u niego znajdziemy? Śtachelę?

– Na przykład suknię ślubną i welon siostry.

– Jak jej w totym nie pogżebali, to może miecz po niej taki pamiątek. Żadna dowoda. Juś my ustalili, że on Glizdola nie zabył, to prokiurator zapita, po jaką kolere nam zaraz pśeśiukanie! To jest nękanie szwadka, każdy może udawacz jakiego szwętego pokutnika. My mamy wyszedzić, kto walnął te Bonawenture. Wśisko inne nieważne, żadne duchy też się nie liczy. Noo, chiba żeby się okazało, że Maniek Gżyp zaplątywany w spiska na życie, ale na razie na to nie wigląda. Ty mię rozumiesz?

– Oczywiście, że rozumiem.

No i znów nie posunęli się do przodu ani kroku, a jutro będzie mijał tydzień śledztwa.

Pogrzeb Bonawentury Glizdola wyznaczono na wtorek i O'Mlett z Charujem postanowili wziąć udział w tej smutnej uroczystości. Dzień wcześniej ksiądz delikatnie spytał podczas przypadkowego spotkania, czy są pewni, że śmierć denata nie nastąpiła w wyniku samobójstwa, bo wówczas musiałby być pochowany pod płótem

i bez asysty duchownego. Ksiądz oczywiście w sumieniu swoim był przekonany, że tak niefortunny dla zmarłego fakt nie miał miejsca, ale wolał uzyskać potwierdzenie ze strony kompetentnych organów i nie narażać społeczności na potencjalne niedomówienia.

– Nou. Żadny samobójec. Ja panu księdzowi gwarantuję, że on celowo widłów w plecy sobie nie pchał! – zdecydowanie odpowiedział komisarz O’Mlett. – Ja daję słowo ofiserski, że samobójec wykluczony.

– A pan sam... przepraszam... to katolik?

– A co to ma do sprawy?

– No bo zawszeć... tego... wspólnota wiary, tego ten... w sumieniu, to gwarancja, znaczy... bardziej niepodważalna... tego ten...

– Znać słowo ofisera polis nie ważny? Muszy być słowo katolik? Charuj, daj panu księdzu słowo od prawdziwy katolik, że Glizdol nie samobójec!

– Daję słowo – poważnie powiedział aspirant.

– Teraz topsie? Wistarci? – spytał O’Mlett. – Można go już pochowywać?

– Niech się pan nie obrusza, ja tylko tak ogólnie...

– A tak ogólnie moja stara rodzyna to katoliki, a ja teraz nie katolyk, nie babtyst, nie islamyst tilko śledczy i moja prajwet rilidžen nikomu nie obchodzy, nawet samemu papieżu!

Gdy skończywszy rozmowę odeszli kawałek, Charuj spytał półgłosem: – Po co mu się narażasz? On tu, na wsi, ważniejszy od wojewody. Cała informacja do niego sływa.

– Yes, aj si. Niektóre ajatolachy teś najwazniejsze i przez to mamy Alkaida i rozpiepsiony Łord Trejd Senter.

Pogrzeb Bonawentury Glizdola odbył się w zaplanowanym miejscu i czasie. Przybyła na tę uroczystość zasadnicza większość mieszkańców, a nawet sporo ludzi z sąsiednich wsi, bo sprawa stała się głośna. O'Mlett z Charujem stali z boku, za drzewami, ale komisarz poprosił sierżanta Brysia o szczególnie pilną obserwację uczestników, bo nie znał osobiście Marzeny Sępiak i jej ewentualna obecność na pogrzebie mogłaby pozostać niezauważona.

Flamy czy konkubiny Beniamina jednakże nie było. Może doniesiono jej, że jest poszukiwana, a może powodowała nią zwykła ostrożność lub brak zainteresowania, w każdym razie nie pojawiła się ani w kościele, ani na cmentarzu.

Uroczystość przebiegła spokojnie, nie było przemówień tylko niektórzy z uczestników odśpiewali dwie pieśni religijne zaintonowane przez księdza. Kilka starszych, ciekawskich kobiet usiłowało skłonić rodzinę do otwarcia trumny, ale zamiar ten spełzył na niczym, poza tym nie wydarzyło się nic, co mogłoby mieć jakiegokolwiek znaczenie dla śledztwa.

Rodzina i paru bliższych znajomych spotkało się na stypie w rezydencji Glizdoli, której zorganizowanie było utrudnione z racji szczupłości miejsca i w dalszym ciągu zaplombowanej kanciapy, a ewentualne urządzenie żałobnego spotkania w gospodzie uznano za nieobyczajne i szkodliwe z uwagi na nieskrępowany dostęp zarówno wrogów jak i przyjaciół.

O'Mlett z Charujem, aczkolwiek spodziewali się, że w trakcie stypy mogą zajść jakieś interesujące ich wydarzenia, nie zaryzykowali narzucenia żałobnikom swojej obecności. Bezpośrednio z cmentarza udali się na posterunek i stamtąd dyskretnie obserwowali dalszy rozwój wypadków.

Już po niecałych dwóch godzinach wyniesiono na zewnątrz Franka Makucha, który zapił się w trupa, więc postanowiono położyć go wygodnie pod drewnianą, aby w spokoju trochę otrzeźwiał. Wynoszony nie protestował, wykrzykiwał tylko, że on był przecież w wojsku, na wartę chodził, nie boi się duchów i żąda, aby mu tego bezpodstawnie nie zarzucano. Później wszelako natychmiast zasnął.

– A ten Makuch to jakaś rodzina Glizdoli? – spytał Charuj sierżanta Brysia, gdy łysy żałobnik już definitywnie zapadł w objęcia Morfeusza, zastanowiło go bowiem, czemu „duch” miałby straszyć kogoś z krewniaków. Natychmiast uświadomił sobie jednak, że

„duch” mógł nie wiedzieć o obecności Makucha na furmance w tę bezkسیęzycową noc.

– Ten dany Makuch to jakowyś pociotek podobnie – wyjaśnił policjant sprawę pokrewieństwa – młodsza śwagierka pierwszego męża babki Bonawentury ze strony jego ojca, tego co się wspólnie z żoną z osiem lat temu zatruli, była z domu Makuch, ale nie wiadomo czy z tej rodziny od Franka. Są jeszcze drugie Makuchy w Kaczej Woli, co do których na dzień dzisiejszy nie posiadamy nijakiej wiedzy operacyjnej.

– Ja tylko tak pytam, z ciekawości. – Aspirant uspokoił sierżanta widząc, że ten usiłuje usprawiedliwić się z niepełnej znajomości wszystkich Makuchów w powiecie.

Po trzech godzinach trwania stypy trzeźwy jak świnia Maniek Gżyp opuścił towarzystwo i udał się do sklepu za remizą, który o tej porze powinien być otwarty. Co prawda godziny otwarcia ściśle nie obowiązywały, ale zawsze można było wywołać sklepową z domu za rogiem. Po dziesięciu minutach Maniek wrócił niosąc dwie pełne, ciężkie siaty, z czego niezbitcie wynikało, że: po pierwsze na stypie skończył się alkohol, po drugie prawdopodobnie nie naruszono plomby na kanciapie stanowiącej podręczny magazynek bimbru i po trzecie wreszcie, że biesiada rozwijała się bez większych zakłóceń i mir rodzinny nie doznał szczególnego uszczerbku.

Gdy pod wieczór zakończyło się rodzinne picie za duszę nie-
szczęsnej ofiary i uczestnicy spotkania zaczęli opuszczać rezyden-
cję, wydelegowano starszego posterunkowego Pipsztaka na przy-
stANEK autobusowy. Ten po półgodzinnym oczekiwaniu zanotował,
że jakaś młoda i dość ekstrawagancko jak na pogrzeb odziana
białogłowa, która wyszła z obejścia Glizdoli, wsiadła do autobusu
rejsowego jadącego do Zamordówka przez Wścibolin i Parzęczew
Górny. Posterunkowy nie znał tej osoby ani też nigdy wcześniej jej
nie widział, to też zdziwiło go to nieco i o tym fakcie zameldował
oficerom.

– Cholera wie, kto to! – stwierdził krótko sierżant Bryś. – Na
ogół to tu wszystkie znajome, więc zachodzi, że tak powiem, po-
dejrzenie. A trzeźwa była czy pijana?

– Letko zapruta – sprecyzował posterunkowy.

– Odprowadzał ją kto na ten przystanek?

– Nikt. Sama przyszła, a zapamiętałem ją, bo fryzurę miała
w podobie do babki od Palusiaków.

Sierżant Bryś roześmiał się z czegoś, więc Charuj zapragnął wie-
dzieć o co chodzi.

– A bo Palusiak płót drewnochronem na czerwono malował
i dla oszczędności rozwodnił go żdziebko – wyjaśnił policjant – no
i babka mu się nawinęła tak jakoś, że jej z tego kubetka głowę po-

łał. A babka całkiem siwa i rozkociudłana, to po tym polaniu pasy miała na głowie białe i różowe, niby jaka artystka. Cała wieś się śmiała, że tera pewnie będzie śpiewać godzinki w telewizji!

Po tym wyjaśnieniu aspirantowi stanęła przed oczami postać dziewczęcia wiszącego na ramieniu właściciela knajpy „Zagłupianka” i jej niespokojne zachowanie, gdy zapytał o losy Marzeny Sępiak. Może to był przypadek, a może nie i warto byłoby to sprawdzić, więc podzielił się tym spostrzeżeniem z O’Mlettem, co ten również uznał za właściwe.

– Ja teś uważam, co ta kobita coś wi – stwierdził z przekonaniem. – Ci ona jest rodzyna od Glizdole?

– Nie wiem, nie widzieli my jej tutaj.

– No to ćeba pośukiwać w Pażeńców, trafi albo nie trafi. Mamy ślada, że bus tiket bił do Pażeńców i na nim palice od Marzena Sępiak. To się zakojarza!

Na tym stanęło i do komendy w Parzęczewie Górnym wysłano zapytanie, czy na ich terenie przebywa Marzena Sępiak albo inne osoby o tym nazwisku. Odpowiedź przyszła następnego dnia, że w miasteczku mieszka Blandyna Sępiak, z domu Klipa, lat 56, wdowa, z zawodu szwaczka i że posiada dwie córki. Starsza Genowefa wyszła za Jana Skubańca, pracującego obecnie na zmywaku w Menczesterze, a młodsza Marzena kilka lat temu opuściła dom

rodzinny, przebywa w nieustalonym miejscu i nikt jej tu od dłuższego czasu nie widział. Komenda pytała, co ma dalej robić, wobec czego komisarz poprosił, aby wzięli dom pod obserwację i gdyby Marzena Sępiak się pojawiła, to zatrzymali ją na kilka godzin, do czasu przyjazdu oficera śledczego z Warszawy.

– Kto puka, będzie mu otworzono – enigmatycznie stwierdził Charuj. – Czyli jednak coś ta stypa wyjaśniła, przynajmniej wiadomo skąd ta cała Sępiak pochodzi i że ma prawdopodobnie łącznika w osobie tej dziewczyny z fryzurą w paski. A skoro ma łącznika, to z kim? Ja stawiam na Beniamina Glizdola, a ty?

– Ja też. Szostka odpaduje, bo chce ją zagryzać, a inne są objętne.

– Dobra. No to pozostaje pytanie, po jaką cholere jej łącznik? Co ona ma tu do załatwienia, że nie chce tracić kontaktu?

O'Mlett namyślał się dłuższą chwilę, a później odpowiedział tak, jakby ten czas był mu potrzebny na ostateczne podjęcie decyzji i pozbycia się wątpliwości co do jej trafności.

– Tak. Ona sze boi. Ja nie wem, czego, ale na pewno sze boi, że coś będzie nie tak, że coś się pokaże, co jej parso zaškodzi. Ćeba szukać w przeszłość, badywać history. Ja myszlę, że ćeba parso top-sie psiestuchacz babka Waleria. Ona będzie gadacz rióżne bzdury, ale to nie szkodzi, ćeba jej dacz gadać, bo z tego big pykczer!

Do maglowania babki zabrali się następnego dnia. Nie chcieli jej zbyt stresować, ale mimo to ściągnęli ją na posterunek, bo w chałupie nie było warunków na swobodną rozmowę z uwagi na ciężkie zajęcia i stałą obecność kogoś z rodziny.

Postawili przed nią kawę, którą wolała od herbaty i w którą wsypała siedem łyżeczek cukru. Komisarz miał kwadratowe oczy, ale nic nie powiedział, natomiast Charuj uznał, że widocznie albo jest jej to potrzebne do uaktywnienia szarych komórek, albo po prostu lubi ulepek.

– Pani Walerciu – Charuj rozpoczął przesłuchanie od objawów pełnej fraternizacji w nadziei, że babka się otworzy – pani Walerciu kochana, niech nam pani porządnie opowie, jak to od początku było z tym ożenkiem Bonawentury, co to z niego nic w końcu nie wyszło?

– Psecie jus mówiłam, ale tyn Jantek od Brysiów tak siem na mię ozdardł za niewinność! Nakazywałam Bonkowi żeby siem łoze- nił, bo kobita w domu potsebną. Bernadetka posła na swoje, a ja jus stara i nie uciągnę. No to w kuńcu znalazł sobie dwie w daw- nem pegieerze w Zagrychach, raz z tą chodził, raz z tą, ale mu uchodziło bez bicia, bo to kolezanki były. No i na koniec powiedział mi, że chyba Polę weźmie, jak jus musi.

– A ta druga, to kto był?

– Jak to kto? Marzenka!

– I ta Marzenka nic nie mówiła, że Bonawentura z Polą się ożeni, a nie z nią?

– Z początku to z miesiąc siem nie łodzywała, ale później znowu z Polą za najpirwse kolezanki były. A co mniała mówić? Taki los babów, że jedna chłopa najdzie, a druga nie. Jak z niemi obiema chodził, to ja myślałam, że która w kuńcu zańdzie i jak będzie dziecko to się Bonek dziebko ustatkuje, ale gdzie tam! Un jeich niby jak jakie siostry miał w powazaniu, nikt nigdy nie widzioł, żeby un której choćby ze zartów kieckie zadarł cy za tyłek wziun!

Charuj pytająco zerknął na O'Mletta chcąc ocenić, czy należycie zrozumiał opowieść babki i czy nie zechce czegoś wniesć do indagacji, ale komisarz siedział z kamienną twarzą i tylko milcząc skinął głową. Wobec tego aspirant pytał dalej.

– A jak już tę Polę ktoś udusił, to Bonawentura nie zamierzał ożenić się z Marzenką? Przecież ją znał i chyba lubił, skoro trochę ze sobą chodzili?

– A gdzie tam! Jesce siem jucha uciesył, że siem zenić nie musi! Ze niby łod łopacności wspomozenie dostał. Marzenka to mu siem trochę psymilała, ale un nic! Mnie to normalnie o mało krew nie zalała, bo jus śło na to, że będzie dobrze, a tu bęc! I ksiundz mu mówił, że to nie po krześcijańsku, a un, jucha, ino siem wykręcoł.

Po wsi to jus ludziska mówili, ze un do jakiego zakonu ani chybi siem sykuje albo co, bo to nie do możliwości, żeby chłop babów z dobrej woli nie rusił. Przeca un wtedy przed łożeniem z rozpacy poszedł pić za cegielnię!

– Ci on bił cały zdrowy? Znaci... no... jako mencizna? – O’Mlett wtrącił się w tok rozmowy, pobudzony informacją o picciu z rozpacy jako o czynności raczej rzadkiej przed planowanym ślubem.

– A zdrowy beł, zdrowy! Siłe miał, nie gadał żeby go co bolało. Zęby mu tylko dokucali i z przyrodzeniem jakowyś tamój feler miał, znacy podobnież nie całkiem beło akuratne, ale jeden dochtór mówił, ze to od tego, co go rodziciele po pijaku zrobili. Ale tak ogólnie to zdrowy był, chłop jak trza!

– No i co ta Marzenka wtedy zrobiła? – Charuj powrócił do zasadniczej kwestii. – Co zrobiła jak Pola już nie żyła, a Bonawentura był wolny, a mimo to nie reagował na jej zaloty?

– Z ruski miesiąc jej nie było, albo i dłużej, ale potem znowu siem pokazała i dała se z Bonkiem spokój. Na zabawy do remizji, cy na różne dyskotyki z Beniaminem wtedyk zaczęła chodzić, a jemu ino w to graj, żeby kto za niego myślał i go prowadzał! Od maleńkości były z niego takie ciepłe kluchy, ze sam jakby nie musiał, toby ani nawet tyski do ręki nie wzion. Ale żeby łożenie siem, to nie! To byłaby la onego największa kara! Bo to zara psimus, łobowiunski

i to najgorsze dla niego, że tylko jednom mógłby se, no... łobracać, panowie rozumieją...

– A on chciałby coraz to inną?

– Kazden by chciał, ale do tego Beniamin najpirsy. Do cegój innego, a jus do roboty jakiej to dwie lewe ręce i flaki z tolejem. Ale tej Marzence widocnie taki pasuje, bo się onego trzymie. Ja nie wiem, czemu te oba chłopy takie niewydazone. Jeden to za zycia dziewczuchy nawet poklepać siem bojał, a drugi znowu na obrót.

– Coś nie bardzo się go trzyma, skoro teraz nawet na pogrzeb Bonawentury nie przyjechała, a chyba wypadaloby, nie? Jak pani myśli? – Aspirant usiłował delikatnie uczulić babkę na postępowanie „narzeczonej” Beniamina.

– Ano juści zdziebko nietadnie. Ale podobnież do łojców pojechała, cy jakości tam.

– A dokąd pojechała?

– Detalicnie nie wiem. Raniej jesce mówiła, że ze siostrom doma koty dze, to jej lepiej beło w Zagrychach robić, ale gdzie te łojce to nie wiem.

– A skąd pani wie, że do rodziny pojechała?

– Taka jedna mówiła, co z niom robi. Za kielnerkie podobnież w jakimś hotelu.

– To ta druga zamiast Marzenki na pogrzeb przyjechała?

- A tak. Beniek to siem nawet nie zdziwił, może jom znał.
- Ale na pewno pani wie, że ją przedtem znał?
- Za cycki jom łapał, to pewnie znał. Całkiem łobcej psecie psy gościach by nie łapał.

Aspirant parsknął przytłumionym śmiechem, a i O'Mlett uśmiechnął się krzywo, widocznie dobrze rozumiał odpowiedź babki, która niezrażona wesołością oficerów tym razem poprosiła o herbatę, „bo jom ciut po ty kawie susy”, jak stwierdziła obrazowo.

Do herbaty pani Walercia znów dosypała cztery kopiate tyżeczki cukru, ku podziwowi komisarza i przerażeniu Charuja.

– Twarda babka – powiedział szeptem ze zgrozą – po takim kopniaku mnie by się macica przewróciła.

– A fild psiez ten czas pśez kto był orany? – O'Mlett powrócił do tematu.

– Ze co proszem?

– Kto ziemię u was uprawiał? – Aspirant przetłumaczył pytanie.

– Aaa. Bonek łorał, a tera Beniek będzie musioł, ale widzi mi się, ze trza będzie kogo nająć, bo un do gospodarki nierobotny. Psy chałupie jest morga grontu, ale jesca jest pińć morgów pod lasem. Jejich także samo trzeba obrobić. Żeby siem łozenił, to moze... ale tak? Bernadetka nie pomoze, bo sama u siebie robi i tes jesce musi

najmować, bo chłop jej siedzi. Ale co poradzis, jak łun ręców przy sobie nie potrafi ucymać?

Charuj raptem zmienił temat. – Wtedy, pięć lat temu, jak Bonawentura pił za cegielnią, a Polę u was w domu udusili, to gdzie pani była?

– A w śpitalu. Wrzoda akurat wielkiego na nodze miałam, bo siem motyką dziabłam i mi siem łobierało, to mię wzieni i bez dwa dni tsymali. A zastrzyków to mi dali chyba z dziesięć. Dopirój na wesele miałam wrócić no i wróciłam, ino wesela nie beło! Dlatego taka ciotka jedna przysywana, co jus nie zyje, Bąkowa Franciska, za kucharkie mniała być i una Polę znalazła jak leżała.

Charuj znów przeskoczył na inny wątek. – Ta Bernadeta, zdaje się, bardzo nie lubi Marzenki. Wie pani dlaczego?

– A bo jom kiedyś Grzesiu od Drągów obmacywoł i Bernadetka jeich naśla. Ale Marzenka niewinna, bo Grzesiu kazdom obmacywoł ile wlaźło. Psecie długiej rozpusty z niom nie mioł, bo go zara do pierdła zamkli, to nie było siem o co na Marzenkie gniewać. Ale nie lubi jej Bernadetka i jus. Co ja na to poradzę?

– Ankę Zanawieskę, co miała być druhną z Marzenką, to pani znała?

– Pewnie. Gźecna dziewczynka. W zeszłem roku una za jednego wyśla, co był z Bagienników i kajsi pojechali. Będzie ze trzy kwar-

tały jak pojechali. Długo ze sobom chodzili, bo un jakieś technikum kończył. Wtedy, pięć lat temu, na przesłuchy podobnież jom brali, ale to beło młodziutkie jesce, co una mogła jejim powiedzieć?

– A Marzenka to jaka była? Wesoła, smutna, otwarta, czy raczej skryta?

– Starsa beła zdziebko od Anecki, ale tes bardzo grzeczna dziewczynka. Nie puscała siem, jak to poniektóre. Ale żeby tak siem ciągiem śmiać jak Ania, to nie. Una zawse siedziała i patsyła. Nic nie mówiła, ino patsyła. No i jaka beła, taka i została siem do tera.

– Jak pani myśli, pani Walerciu, kto udusił Polę?

– Psysły pewnie jakieś chuligany na kradziejstwo, to i zabiły. Kto tera dońdzie? Na nikogój nie powim, ze z nasej wsi, ale może kto z okolicy. Z Rurów mogły jakie ancykrysty psyjechać, bo w Rurach same obuzy!

– A zginęło wtedy coś z domu?

– Nic, może tylko mendalik, co mniała na szyji. Bo co tam na niej beło, to Mańkowi, znacy bratowi, oddali, a mendalika nie oddali. Może same, juchy, zabrali u tego prekuratora. Pamiętam, ze złoty był cały ten mendalik. I łańcusek też złoty. Maniek podobnież jeich pytał, ale mu odrzekli, ze nic takiego nie majom. Matka, znacy stara Gżypowa, tes pytała, bo to od niej Pola mniała ten mendalik.

Charuj znów nagle zmienił temat. – Jak pani pięknie to wszystko pamięta, to ile ma pani lat, pani Walerciu?

– Aaa, jus będzie ćtyry lata na jesień, jak mi psesto siedemdziesiąt.

– No, piękny wiek. A Bonawenturę wieczorem kto w głowę uderzył?

– A nikt, panie, nikt! Chiba ze w tej komórce jakieś złe go rąbło, ale tego to ja jus nie wiem. Z tych, cośmy siedzieli, to żaden go nie udezył! Zebym tak zdrowa beła!

– Ten medalik, co podobno Poli zaginał, to pani wcześniej u niej widziała? Jak on wyglądał?

– A widziałam, psecie ciągiem go nosiła. Taki łokragły, duży jak pińć grosy, z Matkom Boskom, tylko detalicznie nie wiem, z którom. Nie zdejmąta go nawet do kąpieli, zacepienie w łańcusku miot zdziebko popsute. Psecie nie do możliwości, żeby przez mendalika do ślubu szła!

– A pamięta pani może, co te obie druhny mówiły o medaliku? Że miała go na szyi tamtego wieczora czy nie miała?

– Ania mówiła, ze miała, ale to dziecko jesce beło zestrachane. A Marzenka mówiła znowus, ze nie pamięta.

Kwestia zaginionego medalika była w sprawie nowością. Nie wspominał o nim ani protokół z sekcji i oględzin zwłok, ani które-

kolwiek z zeznań świadków. W ogóle cała ta dokumentacja sprzed pięciu lat była albo niepełna, albo śledztwo było prowadzone nieudolnie i po łebkach.

No to już na razie nie było o co babki pytać. O'Mlett porozumiał się z Charujem i doszli do wniosku, że zapytają ją jeszcze, jak im się jakiś temat otworzy, ale na dzisiaj dosyć, bo i babka była zmęczona i oni chcieli w spokoju poukładać sobie to, co usłyszeli. Pożegnali starą kobietę niemal serdecznie i Charuj odwiózł ją do chałupy starą mazdą, którą ostatnio jeździli.

Babka dała im piękne portrety psychologiczne rodziny i połowy świadków. Wynikało z tego kilka tez, które należało sprawdzić, ale mimo to żadna z nich nie dawała nadziei na logiczną odpowiedź na pytanie, kto dał w łeb Bonawenturze na sekundę przed nadzianiem się na widły. Z opowieści babki można było wysnuć wszystko, tylko nie to.

– Jak tak dalej pójdzie, to chyba uwierzę w duchy – ponuro stwierdził Charuj. – Ale nawet duch nie mściłby się na Bonawenturze za to, że prawdopodobnie był impotentem. Nie mamy poza tym żadnej pewności, że ta uduszona Pola o tym nie wiedziała. Miłość podobno jest ślepa, tak jak i żądza posiadania szczęścia mórg gruntu czwartej i piątej klasy. Żeby go zatłukła za życia i po ślubie, to byłby w tym jakiś sens ekonomiczny i niepodważalny motyw, ale tak...?

– Kolera jaśna, psza macz! Ja sze nie znam na żadne duchy! – warknął O'Mlett. – Ja nie biskup. Ja sze znam na krymynologia i kojażenie dowodów. Jeżeli nikt żywy onego nie udeżał w głowa, to kto go udeżał? Sam się udeżał? Ale jak, o jaka psiedmiot i po jakom kolere? On pośed po wodka. I co? Nagle on zamieził robyć samobójec?

– Niekoniecznie zaraz samobójstwo, może tylko samouszkodzenie, na przykład pod wpływem jakiegoś niepowodzenia albo jako protest przeciw czemuś. W więzieniach większość samouszkodzeniowców najczęściej właśnie tak protestuje!

– Ty nie gadaj, Charuj, take rzeczy! – Komisarz zdecydowanie odrzucił sugestię, wplatając z podniecenia więcej angielszczyzny niż zazwyczaj. – Bo to niemożliwe. Gospodaś zaproszuje goszczy, pije czy godżyny, z nikim nie roby konflikt i raptem samouškodzenie, i to w ciemny kabihoul? Jakby on chciał zrobić welka demenstrejszyn, toby szem udeżał na oćach całej rodziny. Ja rozume, jakby on wcześniej ten deys chodzył w dipreszn, to może, ale tak bez psićiny walić głowem o szczane albo o co? Imposybił!

W tej sytuacji następna teoria upadła, a chwyтали się już do prawdy czego popadnie, bo logicznie niczego nie dało się dopasować. Pozostawała tylko działalność złośliwego ducha albo przypadkowe uderzenie przez jakiś wysoko umieszczony lub spadający

przedmiot. Wobec braku alternatywy postanowili rozpatrzyć tę ostatnią ewentualność.

– Siukamy psiedmiota. Dawaj skecz od kanciapa! – Zażądał komisarz.

– Jaki skecz, jak rany?

– Jak to jaki? Normalny. Dawaj rysunek, gdzie co wiszy.

– Aaa, szkic! Jest tu taki schemat w notatkach, ale bez podanych wysokości, co tam było na poziomie twarzy stojącego człowieka.

– Ćeba popaczać. Ofiar miał na oko jeden meter szedemdzieśąt pięć. Lampa tam jaka z sufita wiszy?

– Wisi, ale sama oprawka na drucie, nawet bez żarówki. Ona by mu na pewno czaszki nie wgniotła, choćby nie wiem jak mocno w nią walnął – zawyrokował Charuj.

– Topsie. Co jeście wiszy?

– Nic. Tylko regał z desek przy ścianie ma prawie półtora metra. Na jednej desce, w szczelinie, znaleźli kosmyk blond włosów. Chyba damskich.

– Nie jego. Ofiar był śatan.

– Chyba szatyn – Charuj uśmiechnął się z przejęzyczenia przełożonego – aniołem to on nie był, ale żeby zaraz szatan...

– Yes, śatyn. I na pewno nie był kobeta. Śukamy dalej. A śatan nie blondyn?

– Skądże. Cały czarny, z ogonem i rogami.

– Aha. Dewil. Teras rozumem. A druge psiedmioty pożyczane wiszta na ziemi. Litl, najwyżej pod kolana. No to w co on walnął na stojący? Złapał za szekera i sam sze walnął?

– Na siekierze ujawniono krew, ale kurzą – stwierdził Charuj z odcieniem zarówno bezradności jak i znudzenia w głosie – pewnie koguta babka zamordowała na jakiś świąteczny obiad.

– Pot for poutin... znać... no, garnek do bymbra też nieduży, może o niego się potknął?

– Ale przecież nie upadł do przodu tylko do tyłu. Jakby wlaźł po ciemku na garnek i się potknął, toby poleciał na pysk.

– Ślag by to nagły trafił!

– O framugę głową nie uderzył, bo ludzie by to widzieli! Chole-
ra, naprawdę nie mam pomysłu, w co on mógł tak łbem przypako-
wać, żeby aż naruszyć kość. W każdym razie nie to go zabiło, tylko
te francowate widły, ale bez wyjaśnienia tego uderzenia sprawa
leży. Jeżeli damy sobie spokój i nie ustalimy, to prokurator nas nie
pogłaszcze. Po to dał nam sprawę, bo jest przekonany, że to za-
bójstwo i chce mieć wyniki. Uznać za wypadek i umorzyć mógł od
razu.

O'Mlett siedział z martwą twarzą i pozornie tępo słuchał mono-
logu Charuja, ale kółka zębate w mózgu pracowały mu nieustan-

nie. Myśl błędziła mu po peryferiach najbardziej nieprawdopodobnych skojarzeń, więc analizował je i odrzucał jak były dyrektor PGR-u osobiście segregujący kartofle – sadzeniaki. I co gorsza, nic mu z tego myślenia nie wychodziło. Bardzo chciał, aby raptem okazało się, że tego dnia i o tej godzinie właśnie spadł meteoryt i rąbnął tego Glizdola w głowę. – Bludi... powiedział wreszcie z pasją, ale i to nie pomogło.

Następnego dnia prokurator delikatnie zapytał, jak tam postępy w śledztwie i szczęśliwie dał się jeszcze przekonać, że trwają badania mikrośladów, ale Charuj wiedział z doświadczenia, że taki wersal za długo nie potrwa i że w końcu trzeba będzie powiedzieć coś konkretnego.

– Wiesz co, szefie – powiedział po namyśle – że chyba miałeś rację, że tu trzeba poszperać w zasłóściach i zacząć jeść tę żabę, ale tym razem nie od głowy, a od ogona.

– Ja dalej tak myślę. Tylko że ta ogona sze urywa.

– Fakt, ale popatrz. Po śmierci Apolonii Marzena Sępiak, według relacji babki, zniknęła na ruski miesiąc, czyli na co najmniej kwartał. Nie wiadomo, dlaczego zniknęła, co w tym czasie robiła ani dlaczego później wróciła. Gdyby chciała przykleić się do Bonawentury albo zamienić go na Beniamina, to mogła od razu, nie? Tak to wygląda, jakby chciała coś odczekać.

– No, może. Ty mów dalej.

– Teraz znowu po śmierci Bonawentury znikła, chociaż powinno jej zależeć na kontynuacji związku z Beniaminem. Skoro on jest taki babiarz, to może sobie przygruchać inną, a nawet się z nią ożenić i szlag trafi chałupę i pięć mórg pod lasem. Więc albo jej nie zależy, albo czegoś się boi, albo na coś czeka. A na co takiego ona może czekać?

– Żeby prokurator umożliwił śledztwo! – wystrzelił nagle O'Mlett. – Po uduśeniu Poli umożliwił i ona zaraz kambek! Ale lasiego? Po co jej to? Jakby coś była winna, toby ją dawno odsiukali.

– Szefie, przecież czytałeś akta z tamtej sprawy. Prokuratorowi zwisało i powiewało czy znajdzie zabójcę, czy nie. Nie miał czasu zajmować się taką pierdólką. Teraz ten prokurator jest ważnym politykiem i opluwa dawnych kolegów i wszystkich innych za to, że nie myślą tak jak on. A jego następcą jest młody, chce się wykazać, musi mieć wyniki i dlatego zakładam, że pozwoli nam pogrzebać w przeszłości tej panienki.

– No i jakiego wnioska ty wyciągaś?

– Że ona się schowała bo się czegoś albo kogoś boi, że śledztwo coś wykryje. To pierwsze, w sprawie śmierci Poli, jak widać nie wykryło, to wróciła. Teraz ona czeka, czy przypadkiem to drugie nie wykryje. Może między tymi sprawami jest jakiś związek. Mam rację?

– Możeś mać, ale niekonecznie.

– Skoro tak, to ona może być w jakimś punkcie umoczona w zabójstwo Bonawentury! Jak amen w pacierzu, nie wiem tylko, jak głęboko jest umoczona i dokładnie w co, skoro nie jest bezpośrednio o nic podejrzana.

Logicznym wnioskiem z tej dyskusji był telefon do Parzęczewa Górnego z zapytaniem o ewentalne wyniki obserwacji domu rodzinnego Marzeny Sępiak. W odpowiedzi usłyszeli, że nic się tam nie dzieje, poszukiwanej nikt nie widział, przyjechał tylko na dwa dni z Menczesteru Jan Skubaniec, mąż Genowefy, siostry Marzenki. Od trzech dni odwiedza również ten dom młoda kobieta przyjeżdżająca autobusem z Kłakowa, ale ona może być klientką szwaczki, czyli starej Sępiakowej. Poza tym komenda delikatnie napomknęła, że na dokładniejszą i dłuższą obserwację ich nie stać, bo nie mają ani ludzi ani środków.

– Jak wygląduje kobeta z Kłakowa? – O'Mlett zażądał rysopisu.

– Normalna, młoda, w modnych, młodzieżowych ciuchach, stóg różowego siana ma na głowie. Przyjdzie, posiedzi paręnaście minut i wychodzi. Normalka, jak do krawcowej.

– To jest łąśniak od Mazienny! – Zawyrokował komisarz gdy odłożył słuchawkę.

– Łącznik. – poprawił Charuj.

– Yes, łąśnik. No to my bieziem na piesłuchanie sianowny pan Beniamin.

Następnego dnia rano Beniamin Glizdol zasiadł na krześle w poikoiku posterunku w Papuciach. Był wesolutki, szeroko uśmiechnięty i skłonny do sypania dowcipami.

– Od jak dawna zna pan Marzenę Sępić? – Spytał Charuj.

– Zależy, którom połówkie! – Zażartował młodszy brat ofiary.

– Nie błaznujcie, poważnie pytam.

– Tak ogólnie z pięć lat, ale od pasa w dół będzie najwyżej cztery i pół, he he.

– Proszę bez żartów. A tę drugą, co przyjechała na pogrzeb pańskiego brata, to od jak dawna pan zna?

– A parę lat będzie, może ze trzy. Tys wszystko co trza ma w porządku!

– Jak ona się nazywa?

– Belka.

– To pewnie nazwisko, a jak ma na imię?

– Belka i jus. Tak jom wołajom. Detalicznie nie wiem.

– Zna ją pan trzy lata, spał pan z nią i nie zna jej imienia? – Zdziwił się aspirant.

– Przecie do dowodu jej nie zaglądałem, ino całkiem gdzie jindziej, he he!

- A jaki jest jej związek z Marzeną Sępiak?
- Znamom siem z roboty.
- Czemu ona przyjechała na pogrzeb, a nie Marzena?
- Ona myślała, że Marzena tys tu będzie. Powiedziała, że jak jej nie ma, to pewnikiem u matki siedzi.
- U matki, to znaczy gdzie? W Parzęczewie?
- A bo ja wiem? Nie byłem nigdy u jej starych. Jesce bym siem naraził, he he. Belka mówiła, że u matki, to pewnie wiedziała, gdzie. – Widać było, że Beniamin nie dążył do bliższego poznania kobiety, którą powszechny głos uważał za jego półna-rzeczoną.
- Kto to jest Burak? – Charuj nagle zmienił temat.
- Burak? Nie wiem, nikt taki tu nie mieszka. Może w Gnidach albo we Wścibolinie, albo może w Rurach za rzekom?
- A czyj numer telefonu zapisany był na pudełku po ptasim mleczku, które leżało w komórce w waszym domu.
- U nasz w komórce? Telefon na pudełku? Pierwsze słyszę.
- Taka rozłożona tekturka, pod grabiami leżała.
- Jak Boga kocham nie wiem, o co siem rozchodzi. Nijakiej dychturki nie widziałem. Tamój różne rzeczy leżom!
- No dobra. A z Marzeną kiedy ostatni raz miał pan kontakt? – Charuj znów niespodziewanie zmienił temat.

– W ten dzień, co siem Bonek nadział. I nijakiego kontaktu z niom nie mniałem, przecie siedzieliśma tam, gdzie wszystkie. Nie szło siem... tak psy ludziach, znaczy... migdalić! – U Beniamina, jak widać, wszystko sprowadzało się do jednego.

– Pytam, kiedy pan z nią rozmawiał? – Sprecyzował Charuj.

– No wtedy. Później już nie.

– Może dzwonił pan do niej?

– Też nie. Komórkie gdzieś zadziałem, już miesiąc będzie.

– No i co my z tego wiemy? – Powiedział Charuj do O'Mletta po zakończeniu przesłuchania. – Wiemy raptem tyle, że ta damulka nazywa się Belka, jest jakąś tam koleżanką Marzeny i że Beniamin z nią sypiał. Żadna nowość, on pewnie sypiał z połową żeńskiej populacji powiatu. Proponuję wziąć teraz na widelec jego siostrę. Kobiety są na ogół bardziej spostrzegawcze, może czegoś się dowiemy.

– Można. I tak dzisiaj żadna inna robota.

Bernadetkę sprowadził posterunkowy Pipsztak po półgodzinie. Było niedaleko, ale musiał poczekać, bo akurat doiła. Przyszła wycierając ręce w fartuch i usiadła na krześle opuszczonym dopiero co przez brata, który dla relaksu udał się do gospody.

– Nie lubi pani Marzeny? – Spytał ją Charuj, gdy już się usadowiła.

– A muszę? Inne ludzie też jej nie lubią, chrazanteny jednej. Hrabinie struga, a każdemu jednemu chłopu zara w portki by wlaża!

– Ona zrobiła pani coś złego?

– Niby nie, ale lepiej jom obchodzić, jak żmije jakim. Niby to siem uśmiecha, niby cacy lali, ale potem wychodzi, jak z tem trachtorem było.

– A co było z traktorem?

– A gupio tak jakoś. Przed chlewikiem ziemniaki z osypkom dla świniów gnietłam, a trachtór stojał za mnom na górce, co go Ciepiałak zostawił i do gospody posedł. Aż tu raptem pies przy budzie rabanu narobił, to siem obróciłam, patse, a tyn trachtór na mnie jadzie! Uskoczyłam w sam czas, a un jak nie rumbnie w chlewik! Jak bym tamój beła, toby mię rozjechał jak amen w pacierzu. Patse, a na górce Marzena stoi pod boki podparta i siem ino śmieje. Bonek zara przyleciał, obejrzał i mówi, że musi trachtora ktoś z hamulca spuścić. Kto, ja siem pytam? Przeca tamój nikogo nie beło, tylko una!

– A sam traktor nie mógł pojechać? Może hamulec słabo był zaciągnięty.

– Więcej jak od godziny psecie na górce stojał. Ciepiałak jak go ostawiał, to trzeźwy był jak dziecko, bo dopirój z urzędu wrócił,

motur zgasił, wajchy pozaciągał. To raptem trachtór sam by pojechał? Żeby nie pies tobym siem spod tego chlewika jus nie podnieś! No to za co mam lubieć te kargulene?

– Marzena za Bonawenturę chciałaby wyjść? Jak pani myśli?

– A cholera jom wie. Może by chciała, może by nie chciała, za jakimś z miasta podobnieź łażyła, macanasem był cy kimś tam, ale był zionaty. I kudy jej do macanasa, antresoli jednej, francowatej! Chociaż dla niej zawse piniendze byli pierwse!

– A skąd pani o tym wie?

– Ludzie we wsi mówili. Ludzie wszystko wiedzą co potrza, nie bój siem pan.

– No i mimo to Benjamin z nią chodził?

– A co mu zależało? Przecie siem jej nie wymydli.

– Wie pani, kto to jest Burak?

– Burak? Nie znam takiego. Buraczaka znałam, ale un pomart z rok temu nazad, na weselu młodsej prawnuczki popił se i ślag go trafił. Mógł se jesce pożyć, mniał dopirój dziewięćdziesiątkę z grosami.

Wynikało z tego tylko tyle, że Bernadeta nie lubi Marzeny, i właściwie nic poza tym. Prawdę powiedziawszy to ta cała Marzena Sępić nie była im szczególnie do niczego potrzebna. Obmacywali okoliczności na ślepo, więc w końcu przestuchaliby chętnie i ją,

ale prawdopodobieństwo jej udziału w morderstwie Bonawentury było właściwie zerowe. Jediną zagadkę stanowiło jej niepokojące zniknięcie. Skoro jednak postanowili szukać motywów w przeszłości, to należałoby poznać rodzinę Marzeny i miejsce jej „pracy”, jeśli tak to można nazwać.

W tym celu postanowili wybrać się do Parzęczewa Górnego.

Sierżant z posterunku w Parzęczewie podzielił się z nimi wszelkimi informacjami, jakie posiadał. – Panie komisarzu – powiedział do O’Mletta, gdy Charuj przedstawił mu przełożonego – te Sępiki to rodzina jak prawie każda. Kobity spokojne, nie notowane, chłop od tej starszej też kartoteki żadnej nie ma, a w ogóle to teraz w Anglii siedzi, bo za forszą wyjechał.

– I nigdy z onymi żadnego kłopotu nie było?

– A nie było. Stary Sępik, mąż tej Blandyny. to już z siedem lat jak nie żyje. Ciut tronkowy był człowiek, ale fachowiec pierwsza klasa. W caluńskiej gminie studnie kopał, nie było lepszego. Zawsze wiedział gdzie jest woda, takiego miał czuja! Zarabiał jak trza, dom pobudował, ale wpadł kiedyś po pijaku do jednej studni, co ją dopiero wykopał i nim go wyciągli, to już nie było co ratować. A ta Blandyna to krawcowa, radzi sobie teraz jak potrafi. Dwie córki mieli, starsza Genowefa za Jasia Skubańca wyszła, co u weteryniarza za pomagiera robił. Młodsza, Marzenka, to tylko by się bawiła. Chłopa-

ki, dyskoteki, ciuchy, perfumy, do szkoły mało co chodziła. Poznała jednego, co się chciał żenić, to się go tylko pytała „a co ty mi możesz dać? Wille masz? Konto w dolarach masz? Samochód amerykański masz? No to sam widzisz, siroto bosa”. No to jak do wojska poszedł, tak i został. W Iraku podobno był. A ona jak ze sześć lat temu z domu poszła, tak i rzadko się pokazuje. Osiemnasty rok wtedy miała.

– Daleko gdzieś mieszkują?

– Niedaleko. Zadymy 12.

– Ćemu taki nazwa? Miting jaki duzi tam był?

– Nieeee. Ulica imienia Kleofasa Marii Zadymy, dla upamiętnienia przemianowana z Pierwiosnkowej. Ten Zadyma podobnież był jakiś działacz z Gdańska, czy skąciś tam. Chcieli przemianować na Kaczorów, ale ulica była za krótka i bez asfaltu.

– Topsie. Pojedziemy na tę Zadymę.

Domek był schludny, z niewielkim ogródkiem, ale widać było brak męskiej ręki. W odpowiedzi na pytania zadawane na temat młodszej córki matka miała tylko łzy w oczach, ale starsza siostra nie szczędziła informacji, niestety, mało precyzyjnych.

– Cholera jom wie, gdzie siem teraz szlaja.

– A zagląda do domu od czasu do czasu? – Spytał Charuj.

– Na moim ślubie była, mendalik z oberwanem łańcuszkiem mnie przywiezła. A potem jeszcze ze dwa razy była, może trzy. Ale

po ostatnim razie obiecałam, że jom czemś ciężkiem przegonię! Jasio trochę z tej Anglii przywozi, ale i z tym letko tu nie mamy, a ona mało, że nic nie daje, to jeszcze zabiera!

– Zabrała coś?

– Pewnie. Branzoletkie miałam ślubną, złotą z bursztynami i pierścionki dwa, jeden od Jasia z czerwonym oczkiem w serduszko, drugi złoty od mamy, krzyżyk także samo złoty z brelocikiem, co go jeszcze na pierwszą komunię dostałam i ten mendalik, co od niej. Razem byli schowane i razem wyparowali! Tego samego dnia, co una nazad se pojechała! No to kto zabrał, jak nie una? Duch święty?

– I nie pokazała się od tego czasu?

– A skąd! Była tu niedawno taka jedna rozkociudłana, co jom szukała. Podobnież z jakiegoś hotelu czy skądś. Mówiła, żeby jej przekazać, że jak nie wróci, to będzie nieszczęście, ale dokładnie nie mówiła, o co siem rozchodzi.

– A może mają panie w domu coś, co należało do Marzeny? Na przykład mogą być włosy, albo szczoteczka do zębów?

Obie kobiety namyślały się przez chwilę. – Stanik podarty może być? – spytała matka.

– No, w ostateczności. A nic innego nie ma?

– Jest jeszcze złamany grzebień, co go na komodzie zostawiła.

– To wezmę ten grzebień, dadzą mi go panie?

Wręczyły Charujowi pół grzebienia, ale nie kryły zdziwienia nietypową prośbą. – Po co panu ten złamas?

– Lepszy taki niż żaden – enigmatycznie odparł aspirant i pieczołowicie schował grzebień do plastikowej torebki uważając, by nie uronić ni jednego włosa.

– Taak – stwierdził Charuj prowadząc starą mazdę po wąskiej drodze w kierunku Papuci. – No to wiemy, że Marzeny Sępiak tu nie ma i że ta cała Belka szuka z nią kontaktu, ale to kompletnie nic nie znaczy. Wiemy również, że niejaki Zadyma był wielkim bojownikiem, ale to ma dla nas jeszcze mniejszą wartość. Jedyna ciekawsza informacja to to, że Marzena dała siostrze medalik, który, być może, później ukradła. Ale to również, niestety, nic nie znaczy. Mamy tylko ten kawałek grzebienia, czyli możliwość wyodrębnienia DNA, jeżeli nawinie się nam jakiś materiał porównawczy. Krótko mówiąc, wycieczka w połowie udana. Wstąpimy gdzieś na kawę?

Następnego dnia przed południem wieść gruchnęła po wsi, że przy moście pod Wścibolinem znaleziono zwłoki młodej kobiety i że sprawę prowadzi komenda w Kłakowie. Sierżant Bryś, który doniósł o tym O'Mlettowi, dodał do ogólnej informacji parę szczegółów: – Uduśli ją szalikiem. Panie, kto kurna w lipcu nosi szalik?

Torebki nie zabrali, ale wysypali co w niej było, to trudno powiedzieć, czy co z niej kurna wzięli, czy nic. Znaczący siem nie wiadomo, czy to był rabunek!

– A ona kobeta to kto? Możliwie jaka stąd?

– Nie wiadomo, te z Kłakowa dopirój badają. Nam operacyjnie niczego nie zlecali, to znaczący siem może wiedzą.

O'Mlett z Charujem wsiedli w swoją starą mazdę i pojechali do Kłakowa. Komendant przywołał młodego podkomisarza i polecił mu zaznajomić gości ze sprawą. Oficer był sztywny i lekko przerażony, bo to była pierwsza w jego zawodowym życiu sprawa o zabójstwo, więc starał się wyrażać fachowo i udowodnić starszym kolegom swą pełną kompetencję.

– Zwłoki, jak początkowo sądzono NN prawdopodobnie kobiety młodej, ujawniono w bezpośrednim pobliżu przeprawy mostowej przy drodze lokalnej bitej numer 451, w odległości około siedem metrów od zakrzaczonej rubieży polnej na kierunku biegu rzecznej cieku akwenu wodnego o miejscowej nazwie Smródka.

– Krótko mówiąc trupa znaleziono w krzakach przy moście – stwierdził Charuj.

– Nnoo ttaak.

– Szwetnie, parso dzenkują, prosię dalej – poważnie powiedział O'Mlett.

– Niezwłocznie przystąpiono do rutynowych czynności w celu zabezpieczenia...

– A nie sprawdzono najpierw, czy ta kobita na pewno nie żyje?
– spytał Charuj.

Podkomisarza lekko zatkało, ale uświadomił sobie, że przecież policję wezwało pogotowie, więc medycy widzieli ofiarę przed jego przybyciem, wobec czego jego czynności w celu zabezpieczenia były jak najbardziej na miejscu.

– Oczywiście, że sprawdzono. – Odrzekł z pobłażliwością w głosie. – Poza tym ofiara uległa zejściu śmiertelnemu w wyniku uduszenia przez zadzierzgnięcie okolicy szyjnej przy użyciu pasa tkaniny dzianej, wielobarwnej, o długości około jednego metra.

– Czyli udusili ją szalikiem. – Bezlitośnie podsumował Charuj.

Podkomisarz był blady i nienawidził ich, wobec czego O'Mlett postanowił rozładować sytuację. – Ty sze nie zdenerwywuj – powiedział pojednawczo. – Ja emerikansky poulisjant i ja słaby rozumie polsky nomenklatura. Dlatego moja polsky kolega wyjasznia. Gud?

– Aha! – Ciśnienie narastające w podkomisarzu opadło nagle jak w dziurawym szybkowarze i roześmieli się wszyscy trzej.

– Przepraszam, stary – powiedział Charuj. – My nie chcemy włączyć ci z kaloszami w śledztwo, tylko interesuje nas, czy ten trup znad rzeki nie jest przypadkiem osobą, której szukamy w związku

ze sprawą w Papuciach. Dlatego powiedz nam w skrócie kto to jest i ewentualnie co przy niej znaleźliście. Ot i wszystko.

– Okej. Mamy jej dowód. Nazywa się Kamila Buś, lat dwadzieścia osiem, znana w półświatku jako „Belka”. Znaleźliśmy przy niej torebkę z różnymi takimi babskimi rzeczami, portmonetkę bez forsy, ślad po pierścionku na palcu i złoty medalik w staniku.

– A czemu w staniku? Kojarzysz?

– Bo miał zerwany łańcuszek. Wystarczy wam, bo jak chcecie coś więcej, to skieruję was do obyczajówki. Oni tam lepiej ją znali.

– Dobra, skieruj, ale przedtem interesuje nas ten medalik. Nie chcemy go teraz oglądać, ale chcielibyśmy, aby obejrzeni go niektórzy świadkowie z naszej sprawy w ramach identyfikacji dowodów. Da się to zrobić?

– Oczywiście. Dostarczcie świadków, to przedstawimy. Tylko przedtem zadzwórcie. – Tu podkomisarz zapisał sobie dla pamięci dane prawdopodobnych byłych właścicieli medalika.

– Ja parso ci dzenkuje, kolega! – Serdecznie powiedział O’Mlett.

Dziewczyzna sierżant w obyczajówce dodała im trochę informacji i przybliżyła postać zarówno Belki, jak i jej otoczenia. Od kilku lat była flamą Gustawa Szczypca, ksywa „Sześcian”, właściciela i szefa knajpy „Zagłupianka” w Kłakowie, a właściwie jego prawą ręką w biznesie.

– Kochani – wyjaśniła opisując „Zagłupiankę” – to normalny burdel. Knajpa przy okazji, zresztą niezbyt dobrze zaopatrzona, ale burdel przede wszystkim. I on jest podstawą tego biznesu. Sześciu ma sześć dziewczyn, niby kelnerki. Chociaż miewał i więcej i mniej, różnie. Trzyma je krótko przy pysku, niektóre to już parę lat mu służą w tym lupanarze, ale paragrafu na to nie ma. Usiłowa-
liśmy się do niego dobierać, ale żadna nie chce puścić pary z gęby, chociaż podejrzewam, że lekko tam nie mają.

– A Marzenę Sępiak może znasz? Wiesz, co tam robi?

– Wiem, znam ją. To jedna z najstarszych pensjonariuszek. Nawet ksywy nie ma, klienci wołają ją po imieniu. Już raz mu się urwała ze smyczy, ale sprowadził ją z powrotem, widocznie ma na nią jakiegoś haka, że ona tak się go musi trzymać. Wygląda na to, że czegoś się dziewczyna boi.

– Slejwi. – Mruknął O’Mlett.

– Że co?

– Nooo, jak to w polsky... niewolnik uomen.

– Niewolnica? Właśnie, coś tak jakby.

– Ale ty nie wiesz, co on na nią ma?

– Nie wiem. Jak się może dowiem, to dam wam cynk. Jak na razie, to Sześciu jest na widelcu w związku z uduszeniem Belki. Wątpię, żeby to on ją załatwił, ale śledztwo zawsze zaczyna się od najbliższych.

– A wiesz może, kto to jest Burak? – Charuj zadawał ostatnio to pytanie każdemu, kogo spotkał na swej służbowej drodze.

– Niestety, nic mi to nie mówi.

Sześciana zatrzymano rutynowo na czterdzieści osiem godzin, a prokurator, również rutynowo, zezwolił na przeszukanie w jego mieszkaniu. Nie spodziewano się rewelacji, bo facet był zbyt sprytny, ale mimo to przeszukanie dało nadspodziewanie dobre wyniki.

Znaleziono sporo złotych precjozów, w większości biżuterii, kilkaset działek różnych narkotyków i ostry pistolet z amunicją w dwóch magazynkach oraz zapasem w fabrycznym pudełku. Wśród złotych przedmiotów wyróżniała się bransoletka z bursztynami i krzyżyk z brylancikiem.

Sześcian oczywiście do niczego się nie przyznał. Belkę ledwie znał z widzenia i nie miał pojęcia, kim ona jest, pistolet znalazł niedawno w rowie i nie zdążył oddać go na komendę, narkotyki na pewno podrzuciła mu złośliwa policja i o ich pochodzeniu nic nie wie, a złote przedmioty odziedziczył po prababce, która od dawna nie żyje. Zapytany, czy dwa pełne magazynki i pięćdziesiąt sztuk naboju też znalazł w rowie, odpowiedział, że zostawił to jakiś gość w jego knajpie, w związku z czym te rzeczy schował aby oddać właścicielowi gdy ten zauważy zgubę. A że amunicja kalibrem dokładnie pasuje do typu broni, to najpewniej całkowity zbieg okoliczności.

Prokurator postawił Sześcianowi zarzut nielegalnego posiadania broni i handlu narkotykami, jednocześnie występując do sądu o zastosowanie trzymiesięcznego aresztu, ale pani sędzina doszła do wniosku, że delikwent nie będzie mataczył ani uchylał się od odpowiedzialności, bo jest Bogu ducha winnym aniołkiem i w związku z tym może odpowiadać z wolnej stopy, i to bez kaucji, choć na pierwszy rzut oka widać było, że to bandzior z najwyższej półki.

– Czy pan naprawdę sądzi, że jego wersja jest konfabulacją? – spytała prokuratora, gdy ten zapowiedział skargę na werdykt – przecież mógł znaleźć broń, a narkotyki mogli mu podrzucić, dla mnie to tłumaczenie jest całkiem logiczne.

Zabójstwo Belki i czterdziestoośmiogodzinna nieobecność Sześciana spowodowała wszakże rozpierzchnięcie się panienek jak stadka spłoszonych wróbli. Prokurator zmuszony przez panią sędzinę do zmiany koncepcji operacyjnej i przyspieszenia działań zarządził pilne namierzenie uciekinierek, skutkiem czego już następnego dnia doprowadzono do komendy dziewiętnastoletnią Beatę Kokotek, najmłodszą z pensjonariuszek „Zagłupianki”.

Bez zwłoki przesłuchano ją w charakterze świadka na okoliczność, w związku z, i na podstawie poszlak, a następnie zezwolono Charujowi, by zadał jej parę pytań.

– Czy zna pani Marzenę Sęplik? – spytał aspirant patrząc na wystraszoną po przeżytych przygodach twarz przesłuchiwanej.

– Nooo, znam. Ale ja nic nie wiem!

– W porządku. A skąd Belka miała medaliki, pierścionki złote i inne takie...

– Nie wiem, pewnie Gustaw jej ponadawał, bo skąd by miała?

– A innym od was też dawał?

– On? Zabrać to tak, ale dać coś, to nigdy! Za Chiny!

– A Marzenie?

– Jej to wszystko zabierał, co tylko miała. Mówiła kiedyś po cichu, że chyba do usranej śmierci mu siem nie wypłaci.

– Za co miała mu płacić?

– Nie wiem, jak rany! Już mię pytali! Pożyczyła od niego co, albo wiedział coś o niej. No nie wiem, skąd mam wiedzieć!

– To Belka u was rządziła?

– No, ona.

– I wiedziała o Marzenie to samo, co Gustaw?

– Pewnie! Oni to szli ze sobom ręka w rękę. Co Gustaw, to i Belka.

Do identyfikacji medalika doszło następnego dnia. Z Parzęczewa Górnego sprowadzono Genowefę Sęplik-Skubańcową, a Charuj przywiózł z Papuci babkę Walercię i Mańka Gżypa. Oboje rozpoznali

medalik jako ten sam, który nosiła Apolonia Gżyp, a Genowefa ze stuprocentową pewnością stwierdziła, że to ten, który później dostała w prezencie ślubnym. Ona też, bez żadnych wątpliwości, wśród innych precjozów rozpoznała bransoletkę z bursztynami i krzyżyk z brylancikiem jako swoją zaginioną własność. Maniek na widok medalika nachylił się w stronę Charuja i powiedział półgłosem.

– Zawsze, kurna, mówiłem, że te cholery prekuratory wtedy mendalik zabrali, no bo skąd tera u nich by siem znalazł?

Tak więc do zarzutów stawianych Gustawowi Szczypcowi, ksywa „Sześcian”, doszło ewentualne zagarnięcie mienia, co byłoby do udowodnienia dopiero po odnalezieniu Marzeny Sępiak.

Szczęśliwie sprawę zabójstwa Belki prowadził ten sam prokurator, co sprawę śmierci Bonawentury Glizdola w Papuciach Starych, więc O'Mlett z Charujem mieli ułatwiony dostęp do przenikających się elementów obu śledztw. Mimo to dawały się odczuć jakieś niesprecyzowane naciski z góry sugerujące wyciszenie sprawy. Trudno było wszelako dociec, o kogo personalnie chodzi. Czy o Sześciana, który mógł mieć jakieś plecy, na co wskazywałyby decyzja sędziny, czy też o Belkę lub raczej nieznanego jej zabójcę. Komendant policji w Kłakowie zezwalał wprawdzie na wszelkie poczynania śledcze, ale sam stał z boku i nie przejawiał zbytniej inicjatywy, z której dotychczas był znany.

Na taki rozwój wydarzeń mogłoby wskazywać również nagłe wezwanie do podinspektora Przeciąga, jakie O'Mlett z Charujem otrzymali z sekretariatu następnego dnia z samego rana.

– Panowie, co jest grane? – Zaczął podinspektor natychmiast po pobieżnym przywitaniu i zapadnięciu w głębię fotela. – Toż to przecież prosta sprawa. Zabili chłopca widłami w sporze o miedzę, czy o coś tam, a wy robicie z tego śledztwo na dwanaście fajerek, jakby to był co najmniej zamach na Kenediego! Grzebiecie się w jakichś dawno umorzonych zaszłościach, rozbieracie na czynniki pierwsze jakiś dom publiczny, który nie ma nic do sprawy! Ja, panowie, zupełnie tego nie rozumiem. Docierają do mnie takie różne... no... zapytania od pewnych osób, o co wam właściwie w tym wszystkim chodzi. Podobno jakiegoś upiora też na tej wsi chcecie łapać. Jeśli to prawda, to już całkiem zakrawa na paranoję!

– Możliwe, że duch jest żywy – spokojnie wyjaśnił O'Mlett.

– Tak! I pewnie jeszcze w trzech osobach! – Zakpił podinspektor.

– Nam brakuje jedna szwiadka, co ma żywne siwi. Ona nie była tego ofiara, ale była od onego dawny konkubyni i może wie, co inne szwadki nie wiedzą na całość.

– A poza tym wygląda na to, że jest szantażowana za coś, co miało miejsce zanim została niewolnicą w tym burdelu. Chcemy wiedzieć za co, bo to może mieć pośredni związek – dodał Charuj.

– To może od razu sięgnijcie do średniowiecza. Może sto lat temu to, może tamto, a jak dotychczas żadnego konkretnego. Wykrycie szybko sprawcę, a jak nie, to umarzacie, przecież głowy wam za to nikt nie urwie. Tylko patrzeć jak zaczną się poważniejsze interwencje!

– To znaczy, że mniejsze interwencje już były – powiedział Charuj do O’Mletta, gdy wyszli z gabinetu przełożonego – wynika z tego, że komuś wyżej zależy na ukłębieniu sprawy łba, cholera wie dlaczego, skoro to niby takie proste i oczywiste. A może ten Glizdol to jakiś pociotek kogoś ważnego? Ale chyba jednak nie, bo wówczas byłby ciąg na wykrycie, a nie na umorzenie. Co o tym myślisz?

– Ja myślę, że ćeba robić jak dotąd. Inspiktor pokrzyka, pokrzyka, to nie szkodzi. – O’Mlett zatrzymał się nagle i popukał palcem w pierś aspiranta. – Charuj, ci ty pamiętaś kto podpisał umorzenie w sprawie tej Poli, co jej był medalik?

– Pamiętam. Prokurator Czerpak.

– Mówiłeś, że on polityk?

– Tak, mówiłem, senatorem zdaje się został. Jest senator Czerpak, ale nie wiem, czy to ten sam, bo to może być zbieżność nazwisk. A do czego dążysz?

– No bo jeżeli ten sam, to te małe naciski, co są z góra, to od kogo? Psiecie my jego sprawę rozbabrali!

– Jeżeli nawet, to co mu zależy? Było, minęło. Nikt do niego nie będzie miał pretensji, przecież takie powroty zdarzają się w każdym państwie, a tu nawet nie ma oficjalnego wznowienia śledztwa, tylko poszukiwania sprawcy w innej sprawie.

Korzystając z pobytu w Warszawie O'Mlett oddał do laboratorium pół grzebienia Marzeny Sępiak i kosmyk blond włosów zdjęty z drewnianego regału stojącego w komórce domu Glizdoli oraz wymaz śladu krwi z metalowego trzonka grabi leżących tamże na podłodze, z prośbą o wyodrębnienie DNA, jeśli to okaże się technicznie możliwe.

Chmurne niebo, nów księżycy, a może dłuższe, sierpniowe noce, uaktywniły ducha. Marcin Krupa, specjalizujący się w drobiu zakąskowym, wracał po ciemku z Zagrychów, gdzie brał udział w kilkusobowym serdecznym powitaniu znajomego, którego właśnie wypuszczono ze szpitala. Droga wiodła wzdłuż cmentarza, przy solidnym płocie na podmurówce chroniącym dobra kościelne przed nieodpowiedzialną dewastacją. Nagle zataczający się nieco Krupa zobaczył za płotem białą postać wymachującą czymś na kształt ramion. Jako mężczyzna doświadczony, po wojsku, żonaty i obarczony agresywną teściową nie uległ panice, lecz usiłował przedostać się do zjawy przez wysoki płot w celu dania jej zdecydowanego odporu. Gdy mu się to nie udało, zaczął rzucać

w nią kamieniami. Duch zareagował czynnie na atak, oddalił się i po chwili zniknął między nagrobkami.

Zaalarmowany proboszcz odrzucił wszakże żądanie wspólnego pościgu za zjawą po nocy z kropidłem po wertepach. Uznał doniesienie za grzech pospolity zagrożony pokutą bez zawieszenia i zalecił Krupie jako antidotum odmówienie trzech zdrowasiek oraz wylanie sobie na łeb kubła zimnej wody. W tej sytuacji Krupa niezwłocznie udał się do gospody, gdzie mimo późnej pory zastał kilka osób w stanie wskazującym, w tym również lekko podciętego Mańka Gżyza ze świeżym śladem otarcia na czole. Było to trochę dziwne, bo Maniek przecie mało pił z uwagi na wątrobę, chociaż mimo to każdy, nawet połowicznie trzeźwy, ma prawo walnąć się łbem o szynkwas spadając ze stołka. Zgromadzeni wykazali żywe zainteresowanie przypadkiem, postawili Krupie dubeltową kolejkę klinów na otrzeźwienie i rozpoczęli dysputę na temat braku widocznej korelacji pomiędzy życiem doczesnym i wiecznym.

– Patrzejta chłopcy – podsumował to jeden z aktywniejszych filozofów – proboszcz niby tylko ksiądz, a jednak człowiek. Rację mniał, że nie będzie ganiał tego ducha, bo un też istota boża i trza do niego delikatnie, a nie tak na chama zara kropidłem przez łeb. Ty się, Marcin, zastanów, bo jak siem z ankoholizmu

przekręcisz i będziesz także samo robił za ducha, to nie w smaki ci będzie, żeby żywe ludzie za tobom połamanom trylinkom rzucali!

Rano wieść o zjawie dotarła do sierżanta Brysia, a od niego do O'Mletta i Charuja, którzy przyjechali kontynuować śledztwo, jednak miejscowy komendant relacjonując wydarzenie bagatelizował przypadek, bo przecież nikt nie dostał w mordę ani nie doszło do uszkodzenia mienia, więc właściwie nie ma sprawy.

– Coś ten duch jakby trochę złagodniał i straszy zza płotu. Nie przypuszczał pewnie, że ten pijak go zaatakuje – stwierdził Charuj – zastanawia mnie tylko, po kiego czorta w ogóle to robi? A ten Krupa to ma może jakiś związek z rodziną Gżypów?

– On sam żadnego związku nie ma, tylko tyle że ich znał jak wszyscy. Ale wracał z Zagrychów, z popijawy u Fafuły, sąsiada Gżypów, który z nimi od dawna był na noże. Teraz, jak Gżypowa nie żyje, Pola nie żyje, a sam Fafuła dwa miesiące w szpitalu na głowę leżał, to trochę te nieporozumienia ucichły.

– No to ten duch powinien Fafułę straszyć, a nie Krupę.

– Straszyl go, straszyl! Przecie Fafuła w tym szpitalu podobnie przez ducha wyładował. Ja nie wiem, jak tam naprawdę było, ale tak ludzie mówią. Jak się Fafuła przeląkł, to z tego przerażenia jakiegoś udara dostał, czy czegoś tam.

– Czyli Krupa był straszony w zastępstwie Fafuły. – Zażartował Charuj. – Można powiedzieć, miała miejsce taka pozaziemska substytucja. A ci poprzednio napastowani przez tego upiora to mieli jakieś powiązania z Gżypami? Na przykład Kitwasiński?

– To Makuch był daleki pociotek, może tam kiedyś czymś się naraził, ale Kitwasiński nie. On jest na ogół grzeczny, nawet gdy popije. To już prędzej Józek Papugaj, ten spod lasa. On kiedyś starą Gżypową przed kościołem przy ludziach od kulawych kurwów ponawyzyszał, ale za co, to już nikt nie pamięta. Mogło to być i za byle co, bo Papugaj rzadko w niedzielę trzeźwy.

– A wśród wcześniejszych ofiar tej zjawy był ktoś taki, co się Gżypom naraził?

– Trzech to na pewno miało coś na sumieniu. Kapuśnik z Apolonii się obśmiewał, że za chochoła słomianego wychodzi, a nie za chłopa jak trza. Jak go ten duch pogonił, to w dziurze za gospodą nogę se złamał. Młody Ślak Mańka Gżypa pobił kiedyś, jak ten nie chciał z nim świętować powrotu z wojska, to go potem ten duch razem z rowerem do gnojówki wpędził. Polanko ze strachu całą noc w listopadzie w rowie przespał i zapalenie płuc mu się przyplątało. Dwa tygodnie przeleżał przez tego ducha, a wszystko ponoć za to, że kiedyś starej Gżypowej ukradł trzy kury. Tak ludzie mówili, ale nie wiem czy to prawda.

Sekcja zwłok Kamili Buś nie wykazała niczego nadzwyczajnego poza typowymi objawami zadzierzgnięcia i śladami krótkiej walki w postaci zasinień. Pobrano wyskrobiny spod paznokci, zawierające ślady krwi i fragmenty naskórka, ale na razie było to znalezisko bezużyteczne wobec braku materiału porównawczego. Skąpa, letnia odzież denatki nie wskazywała również na prawdopodobieństwo noszenia przy niej ciepłego szalika, którym została uduszona, więc założono, że ten przedmiot mógł być własnością zabójcy. Z uwagi na kolory trudno było dociec, czy był to szalik damski czy męski, więc i ten ślad, jak na razie, niewiele wyjaśniał.

Fakt, że zabójca prawdopodobnie ściągnął ofierze pierścionek z palca, ale nie odnalazł i nie zabrał ukrytego w staniku medalika dowodził, że sprawca śpieszył się i nie ryzykował dokładniejszego przeszukania rabując tylko to, co rzuciło mu się w oczy. Trudno więc na tej podstawie rozstrzygnąć, czy mord był zaplanowany, czy też był dziełem przypadku i uśmiercono ofiarę działając w zamiarze ewentualnym.

Zwolniony z aresztu Sześcian, po czterdziestu ośmiu godzinach odsiadki, wrócił do swojej knajpy i rozpoczął ciche poszukiwania rozpierzchniętego personelu, bo bez dziewczynek interes w zasadzie nie miał racji bytu. Widząc jego szczerze zainteresowanie biznesem podkomisarz prowadzący sprawę zabójstwa Belki doszedł do

wniosku, że delikwent nie zamierza uciekać, a więc wątpliwe jest, by był zabójcą, za co groziłoby mu od dwudziestu pięciu lat wzyź. Tą metodą podkomisarz wszedł w drobny konflikt z prokuratorem, który składał zażalenie na decyzję sądu o pozostawieniu Sześciana na wolności niezależnie od tego, czy zabił Belkę czy nie.

O'Mlett wszakże wychodził z założenia, że Sześciana należy bezwzględnie zamknąć, bo prędzej czy później i tak wytnie jakiś numer. Popierał tym zdanie prokuratora, ale równie jak i on, nie miał wpływu na superhumanitarną łagodność pani sędziny.

– Ja nie rozume polski prawo – wyjaśnił Charujowi swoje zastrzeżenia w tym względzie – wy zamikają ćłoweka, który zwyczajno wymysla panu prezydentu, co normal w każda demokracja, a nie zamikają ćłoweka, co posiada gan, dużo narkotyki i on może killer! Jego nie zamikają i nawet nie dawa żadny beil, znaći polski ten... no... depozit w penondze, cili kaucja!

– Sąd ma prawo do swobodnej oceny, u was też.

– Yes, ale u nas jak kto mówy, ze prezident jest houli kretin, to jego nikt nie zamika do sing sing! A ten Sieścian może pozabyja wsistke szwiadki, tego waś swobodny kourt nie wydzi? Ty teś uważasz, że w poządku?

Charuj myślał przez dłuższą chwilę, wreszcie wyjawiał, co go gnębi.

– Właściwie to przez Sześciana i ten medalik znowu wracamy do Marzeny Sępiak, a sprawa śmierci Bonawentury Glizdola ucieka nam w niebyt. Niby ją cały czas prowadzimy, a w rzeczywistości stoimy jak wół na rozstaju. No to prześledźmy losy tego medalika i miejmy to z głowy. Dostała go Pola od matki i miała na sobie w przeddzień ślubu, mamy na to świadka, tak?

– Yes.

– Trafił jakoś, cholera wie jak, do Marzeny i ta dała go siostrze. Mamy na to dwóch świadków.

– Uhum.

– Potem Marzena ukradła go razem z innymi rzeczami. Na to świadka nie mamy, ale to jest mocne domniemanie. Trudno mieć bezpośredniego świadka kradzieży.

– Topsisie.

– Później Kamila Buś od kogoś go dostała, nie wiemy od kogo. Może od Marzeny, a może od Sześciana, jak przypuszcza ta Beatka Kokotek. Czyli nieznanym nam jest jego los od kradzieży z domu Sępiaków do znalezienia na trupie Kamili Buś. Tak?

– Yes. Ja myślę, że Mażiena dawa jego dla Sieścian jako harac, a Sieścian dawa dla Belka, bo ona jego konkiubyna.

– Dobra, ja też tak myślę. Załóżmy, że tak było, że Marzena za coś płaci Sześcianowi medalikiem, pierścionkami, krzyżykiem

i bransoletką i że to stanowi haracz dla szantażysty, ale to wszystko nie wyjaśnia nam, skąd pierwotnie ten medalik znalazł się w rękach Marzeny. Najbardziej jest prawdopodobne, że to ona zabiła Polę! To ciężka poszlaka, ale mocniejszego dowodu brak.

– Dużej poślaki też brak, bo zabił Polę może kto inny, a Mażena tylko zdejma medalik z trupa! To nie daje prokuratorowi powodu do zarzutu.

Charuj westchnął ciężko jak astmatyczny wieloryb. – No to wiemy od tygodnia, że Apolonię Gżyp wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi prawdopodobnie zabiła Marzena Sępiak, ale nie możemy tego udowodnić. Również od dawna wiemy, że wiejską białą damą jest Maniek Gżyp, ale nie zamierzamy tego udowodniać, bo i po co. Nie wiemy, kto zabił Kamilę Buś i nie od nas zależy, czy i kiedy się tego dowiemy, wreszcie nie mamy pojęcia, kto zabił Bonawenturę Glizdola i czy on w ogóle został zabity przez kogoś realnego. Sama rozkosz! Jak żyję nie miałem takiego piętrowego śledztwa. Medalu to nam za to na pewno nie dadzą!

Do materiału przeznaczonego do wyodrębnienia DNA, znajdującego się w warszawskim laboratorium dołączyły teraz wykrobinę spod paznokci Kamili Buś i szalik, którym ją uduszono, bo powiat nie miał technicznych możliwości przeprowadzenia takich badań. Na wyniki trzeba było poczekać, wobec czego O'Mlett

z Charujem postanowili pogadać z prokuratorem, bo sytuacja była dość niejednoznaczna.

Po śmierci Bonawentury Glizdola prokurator zabrał śledztwo z komendy powiatowej i przekazał wyżej bo liczył, że stołeczne siły prędzej uporają się z zagadką, one zaś zaczęły odgrzebywać niewyjaśnione zabójstwo sprzed pięciu lat, co było komuś u góry nie na rękę, a i samemu prokuratorowi też nie bardzo. Tymczasem uduszono Belkę i tę sprawę przejął powiat, mimo że osoba ofiary pojawiała się w śledztwie dotyczącym Bonawentury Glizdola. Istniejące dotychczas delikatne odgórne naciski sugerujące szybkie ukrećenie sprawie łba, nasiliły się po zabójstwie Belki, co wzmogło w prokuratorze przekonanie, że obie sprawy się łączą, w związku z czym nie może całkiem odciąć od śledztwa uciążliwej w swej docieklivosti ekipy warszawskiej, choć tą decyzją wyraźnie mógł podpaść komuś ważnemu na górze.

Z prokuratorem nie dało się pogadać, bo był akurat bardzo zajęty, więc O'Mlett z Charujem odwiedzili koleżankę z obyczajówki aby wysondować co się da o działalności Sześciana pozostającego pod stałą obserwacją. Dowiedzieli się, że z rozpierzchtych panienek do roboty dotychczas wróciły trzy, w tym Beatka Kokotek, ale Marzena Sępiak nie pokazała się i policjantka nic nie wiedziała o jej losie.

– Pytaliście mnie ostatnio – przypomniała sobie nagle – czy nie znam przypadkiem jakiegoś Buraka. Nie znam, ale od kolegi z narkotyków dowiedziałam się ostatnio, że dostawę dla Sześciana mógł załatwić niejaki Dycha, podobno powiązany z grupą Burakowiaka, o której nic w zasadzie nie wiemy. To musi być albo jakaś nowa postać na tym rynku, albo może stara, tylko ostatnio wypłynęła. Pewnie macie lepsze dojścia niż ja, to poszukajcie. Nie wiem, czy Burakowiak to wasz Burak i czy to nazwisko czy ksywa, ale jakaś zbieżność jest.

– A tego Dychę macie namierzonego?

– Nie. Dobrze był zagrzebany, a teraz, po zatrzymaniu Sześciana, na pewno z dziury nie wylezie. Nie wie przecież, co nam Sześcian powiedział, żeśmy go tak łatwo puścili.

– To Dycha może próbować odstrzelić Sześciana – zasugerował Charuj.

– Może, ale co mamy zrobić? Dać Sześcianowi ochronę? To jeszcze gorzej, bo wtedy się Dycha upewni, że Sześcian puścił farbę.

– Tak czy owak, w tym towarzystwie wątpliwości rozstrzyga się przez fizyczną eliminację. Jeżeli Sześcian przeżyje, to znaczy że mu wierzą. – Podsumował Charuj.

Prokurator dalej nie miał czasu, więc wrócili do Papuci Starych. Tam po udanych żniwach trwał właśnie okres intensywnych

przygotowań do uroczystych dożynek. W programie przewidziano mecz piłkarski o puchar kierownika punktu skupu trzody chlewnej pomiędzy K.S. „Papucianka”, a F.K. „Gwiazdozbiór” z Rzyci Wielkiej i w tym celu wyleniałą łąkę za cmentarzem czasowo adaptowano na stadion narodowy z trybunami na co najmniej 185 widzów. Sędziować miał ksiądz wikary, co do którego istniała stuprocentowa pewność, że nie da się skorumpować byle czym, w towarzystwie dwóch doświadczonych ministrantów liniowych. Piłkę i gwizdek zakupiono już z funduszu reprezentacyjnego softysa, a zawieraniem zakładów zajęła się miejscowa firma bukmacherska dyskretnie wspierana przez proboszcza.

Poza tym zaplanowano organizację uroczystego przemarszu z orkiestrą i sztandarami wokół bajora pomiędzy byłą cegielnią a zlikwidowaną kuźnią. Trzyosobowy zespół filharmoników w składzie trąbka, bęben i gitara zamierzano sprowadzić z Prałacina i toczyły się już w tej sprawie daleko posunięte negocjacje.

Wnuk softysa od dwóch dni pisał na komputerze wstępny szkic inauguracyjnego, jednostronicowego przemówienia, a zardzewiałą bramę cmentarza odmalowano na czarno w celu poprawy efektu wizualnego okalających bajoro elementów architektonicznych.

Uroczystości zakończyć miał bankiet w gospodzie u Biedronia i wesołe sąsiedzkie barbekiu na świeżym powietrzu, o ile pozwolą

na to warunki atmosferyczne oraz nieprzewidywalny stan świadomości uczestników. Zarówno obecności jak i ewentualnych ekscesów ze strony ducha nie brano pod uwagę, mimo że podczas zeszłorocznych dożynek przetrącił on przerażonemu Kapuśnikowi nogę w kostce. Zobowiązano tylko komendanta posterunku policji do wzmoczenia czujności i nasilenia działalności patrolowej w okresie trwania uroczystości dożynekowych, szczególnie w porze nocnej, co wywołało u niego liczne przejawy niezadowolenia i frustracji.

– A jak ja niby, cholera ciężka, mam to zrobić? – poskarżył się Charujowi na tę decyzję miejscowych władz. – Złodzieja to ja jeszcze, dajmy na to, złapię, ale ducha? I to takiego, co nawet ksiądz w niego nie wierzy? Ludzie, do czego to w tym kraju doszło!

– Niech pan odpowie grzecznie „tak jest” i dalej robi to, co zawsze – z uśmiechem poradził Charuj. – To najlepsza metoda, nigdy dotychczas nie zawiodła.

Gdy pożegnali sierżanta, O’Mlett zapytał. – Lasiego nie powiedziałeś mu, że duch to Maniek Gżip? On tu miejscowy władza, jemu prawo wiedzieć.

– A po co? Jakbym powiedział to spaliłbym Mańka w tym środowisku. Nie miałby życia we wsi. Byłoby z tego więcej krzywdy niż pożytku, a tak, jeżeli duch przestanie działać, to będzie spokój. Baby pomyśla, że skończyła mu się odsiadka w czyścicu i został od-

delegowany do nieba, a chłopcy pewnie nawet nie zauważą zmiany. I tak ostatnio ten upiór nie był zbyt aktywny.

Niedzielną uroczystość dożynkowa przebiegła na ogół bez zakłóceń. Co prawda na meczu piłkarskim sędzia masowo pokazywał święte obrazki w zastępstwie żółtych kartek nie tym graczom, co potrzeba i wymagał obrony rzutów wolnych w murze na klęczkach, ale mimo to spotkanie zakończyło się sprawiedliwym remisem 19 do 19, między innymi z powodu nieodgwizdania spalonych, w związku z czym za obopólną zgodą zrezygnowano z dogrywki i rzutów karnych, bo obaj bramkarze z różnych względów nie nadawali się do dalszego użytku. Orkiestra przerwała koncert już po dwóch godzinach i udała się na wypoczynek w krzaki za byłą cegielnią, ale bankiet odbył się planowo i zgromadził wszystkie osoby mogące do tego momentu poruszać się o własnych siłach.

Natomiast w nocy miało miejsce bulwersujące wydarzenie. Oto powracającego z uroczystości Mańka Gżyba, w samych drzwiach jego domostwa w Zagrychach napadło i pobiło dwóch nieznanych sprawców. Napastnicy wtargnęli do wnętrza, nakładli Mańkowi zdrowo po mordzie, zdemolowali salon i pół kuchni, zawartość szuflad wyrzucili na podłogę, stłukli parę garnków i pustych doniczek po czym oddalili się w nieznaną, rzucając przerażonej ofierze

na odchodnym „masz sukinsynu za tatusia”, nie wyjaśniając przy tym, o czyjego protoplastę chodzi.

Ofiarę znalazł kuzyn, niejaki Mrówa ze wsi Rury, który przybył niedługo po napadzie w celu kontynuacji gasnącej już zabawy w Papuciach. On też udzielił Mańkowi pierwszej pomocy i zadzwonił z komórki na posterunek mimo oporów poszkodowanego, który był zdania, że właściwie nic się takiego nie stało, żeby zaraz mieszać w to policję.

Przybyły na miejsce sierżant Bryś, który już miał nadzieję, że wszystko przebiegnie bez ekscesów, natychmiast przystąpił do intensywnego śledztwa. Bez trudności wytypował ewentualnych sprawców spośród osób niechętnych ofierze i udał się do gospodarstwa Fafułów oddzielonego od siedziby Gżypów jedynie połamany płotem.

Sam Fafuła nie mógł co prawda uczestniczyć w napadzie, bo zdrowie mu na to nie pozwalało, ale miał dwóch dorodnych synów, którzy nie stronili zarówno od alkoholu jak i od wszelkich innych uciech podnoszących poziom adrenaliny.

W związku z tym, że zarówno ojciec jak i obaj synowie znajdowali się w stanie nieważkości, sierżant zrezygnował z przesłuchania i zatrzymał tylko do wyjaśnienia różne przedmioty leżące na stole, a wśród nich rozładowany telefon komórkowy, o którym

wiedział, że jest własnością Mańka Gżypa, złoty pierścionek z czerwonym oczkiem i zabytkowy, bo pochodzący z lat osiemdziesiątych efektowny naszyjnik z czeskiego „Jabloneksu”. Fafułowa nie protestowała zbyt gorliwie przeciwko rekwizycji, a na pytanie czy to jej precjoza, odpowiedziała. – Ja tam nic nie wiem, pewnie od jakichś kurwów chłopaki dostały, to i majom, nie?

O’Mlett z Charujem dowiedzieli się o zdarzeniu następnego dnia rano, bo choć sama sprawa nie była w tym środowisku niczym nadzwyczajnym, to sierżant Bryś postanowił ich powiadomić z uwagi na przedmioty znalezione u podejrzanych.

– Skąd by mieli komórki Mańka, gdyby ich tam nie było? – wyjaśnił relacjonując przebieg dotychczasowego śledztwa. Zanim jednak Charuj zdążył skojarzyć znalezisko i ocenić je jako fragment układanki, ozwał się telefon i powiadomiono ich z Kłakowa, że na drodze w pobliżu Sobaczyna policja zatrzymała poobijaną Ukrainkę, którą wyrzucił z kabiny kierowca rumuńskiego TIRa. Dziewczyna wracała właśnie do pracy w pobliskich Zapluskwicach i nieopatrznie skorzystała z oferty podwiezienia, naiwnie wierząc w dobre intencje wygłodzonego tirowca. Policjanci odwieźli ją do Zapluskwic, do gospodarstwa niejakiego Buraka, właściciela ponadhektarowej szklarni pełnej warzyw i kwiatów. Samego pana Buraka nie było, bo podobno przebywał na urlopie w Egipcie, natomiast dyrektor

przedsiębiorstwa potwierdził zatrudnianie Ukrainki na czarno, bo wobec dowodów nie miał innego wyjścia. W wyniku dalszych badań ustalono, że pracuje u niego jeszcze dwanaście kobiet, w tym niejaka Marzena Sępiak. Szczęśliwie policjantom przyszło do głowy powiadomienie komendy w Kłakowie o tym powszechnym dość wykroczeniu zatrudniania na czarno, mimo wysokiej pozycji pana Buraka w różnych liczących się kołach, ale ich nadgorliwość tym razem nie została lekceważąco pominięta, lecz okazała się posunięciem nad wyraz trafnym. Marzenę Sępiak zatrzymano i przewieziono do komendy, a że nie było wobec niej zarzutów, a czas uciekał, to o sprawie powiadomiono O'Mletta.

Komisarz wraz z Charujem natychmiast pojechali do Kłakowa zabierając ze sobą odebrane sierżantowi Brysiowi pierścionek z czerwonym oczkiem i naszyjnik z „Jabloneksu”.

– Zostanie pani przesłuchana w charakterze podejrzanej o zamordowanie Apolonii Gżyp – walnął Charuj prosto z mostu gdy tylko usiadł naprzeciw niej w pokoju przesłuchań.

Oskarżenie było szokiem dla Marzeny Sępiak. Zaczęła gorąco zaprzeczać mieszając przysięgi z klątwami i lawiną usprawiedliwień. Zimny i opanowany Charuj starał się usystematyzować tę powódź chaotycznych informacji wypływających z ust przerażonej kobiety, ale udało mu się dopiero po godzinie skłonić ją do rzeczowych

odpowiedzi na zadawane pytania. W toku długiej rozmowy dowiedział się w końcu, że pan Burak był stałym klientem Belki, natomiast ją obdarzył zainteresowaniem raptem raz czy dwa, cztery lata temu, gdy nie był jeszcze tak ważnym biznesmenem, a ona skromną dziewczynką usiłującą dorobić się lepszego życia w knajpie Sześciana. Kamilę Buś Marzena znała od dawna, zapoznała ją kiedyś z braćmi Glizdolami, Polą i jej bratem, ale niezbyt ceniła za gwałtowny i zaborczy charakter. Początkowo były koleżankami, ale później Belka związała się z Sześcianem i została szarą eminencją, a właściwie szefową całego interesu. Była gorsza od niego, rządziła wszystkim i wszystkimi, a on nie tylko zostawiał jej w wielu sprawach dużą swobodę, ale również zaczął w końcu ulegać bez zastrzeżeń jej pomysłom i zachciankom. W kontaktach z innymi stosowała wszelkie formy nacisku i przymusu, a podstawowym jej narzędziem był szantaż. Stosowała go również w stosunku do Marzeny strasząc ją ujawnieniem w prokuraturze jej rzekomej rywalizacji z Polą o względy Bonawentury i wymuszając stały haracz we wszelkiej opłacalnej formie.

– Proszę opowiedzieć, jak to właściwie było tej nocy, kiedy zginęła Pola? – Charuj zadał to pytanie delikatnie, jakby skłaniał nie do zeznań lecz gawędy przy ognisku. O'Mlett od początku przesłuchania nie odezwał się ani słowem, nie chcąc widocznie

usztywniać Marzeny Sępiak, raz tylko przerwał, by zaproponować jej herbatę.

– Normalnie było. Przyszłyśmy we dwie z Anią Zanawieską, potem jeszcze przyszła Belka, Poli ze śmiechem nadmieniła, że jej takie mizdrzenie i tak niewielka pomoże, ale zara wyszła, bo podobnie szukała Beniamina. Pola mierzyła sukienkie, ale trza było ciut poluzować bo zapięcie było liche i przez głowę nie przechodziło, to siem rozebrała do majtek, nawet medalik ściągnęła, a myśmy we dwie pomagały. Ze dwie godziny może to trwało, abo i trochu więcej.

– A potem co było?

– A nic. Zaszyły my co trzeba, pogadały trochę i poszły.

– Medalik, co go Pola zdjęła, to gdzie był?

Marzena zaczerwieniła się po cebulki włosów. – No, był... w kieszeni u mnie był.

– Zabrała go pani?

– No, tak wyszło. Jak Pola go ściągnęła, to schowałam, żeby siem gdzie nie zatracił. A potem zapomniałam i z nim poszłam.

– A Pola się nie dopominała?

– Nieee. Pewnie też zapomniała. No a potem, jak już jom znaleźli, to się bojałam oddać, bo zara kaźden policjant by pomyślał, że to ja jom zabiłam dla tego medalika. O Jezu! No, przysięgam, że tak było!

– No dobrze, a Pola z Kamilą to w zgodzie żyły, lubiły się?

– Za dobrze to siem nie znały, paręnaście razy siem może widziały. Pola to zgodliwa była, ale Belka co i raz jej docinała, a to o to, a to o tamto. Raz jej powiedziała, że jak ma żyć z takim chłopem to niech lepiej siem powiesi. A jak sama nie zechce, to ona przyjdzie i jom z litości powiesi. Pola na to skoczyła z pazuramy, ale potem jej przeszło i mówiła, że to pewnie było tylko tak dla śmiechu. Ale z Belką to nie było śmiechu. Belce niby to nie zależało, ale zazdrość jom piekła, że taka Pola może być na swoim, a una nie!

– Lubi pani Bernadetę? – Charuj zmienił temat.

– A za co mam jom niby lubić? Od początku na mnie naskakuje, że z jej braćmi chodziłam. Cięta beta na mnie, że jej ojcowiznę chcę zabrać, a sama to po co za tego świra Grzesia wyszła, jak nie dla gospodarki?

– A na Polę nie była cięta? Przecież Pola też zabrałaby ojcowiznę.

– Jakoś nie. Tylko na mnie patrzyła jak na jakiego wilka.

– A Kamilę lubiła?

– Jej to Bernadeta prawie nie znała. Spotkały się może dwa, trzy razy i wszystko.

Aspirant znowu zmienił temat. – Czemu ukradła pani siostrze jej złotą biżuterię?

Marzena Sępik nie okazała szczególnego zażenowania, wzruszyła ramionami i odpowiedziała agresywnie: – A co? Trzeba sobie

pomagać, nie? Jak ja miałam, to jej dałam, a jak potrzebowałam, to ona nie chciała mi dać. No to sama se wzięłam!

– Po co pani potrzebne było to złoto?

– Jakbym nie zatkała czym gęby Sześcianowi i Belce, to obiecywali mnie obskarżyć, że to na pewno ja udusiłam Polę! Co i raz musiałam jejim coś dać.

– To nie prościej było niczego nie kraść, tylko pójść na policję? Przecież jak pani nie zabiła Poli, to nic pani nie groziło.

– Taaa! A wy byśta mi uwierzyli? Akurat! Przecie tera też mi pan nie wierzy, co? Może nieprawda? No i ile bym pożyła? Zara by mnie Sześcian gdzie po cichu ubił!

– Tak, topsie! – O’Mlett przerwał nagle ten zalew wyjaśnień. – Pani nie zabyja, to kto uduszy Pola? Pani pręko mówi!

– O rany! Nie wiem! Jak my z Anką wyszły, wpierw ona, potem ja, to Pola się została sama, nikogój w chałupie nie było. Widziałam tylko na drodze, że motur jakiś przejechał. Ale przejechał i pojechał se dalej. No i Belka skądciś szła, ale nie wiem czy do Glizdólów czy gdzie indziej. Wyglądało, że dalej Beniamina szuka. No to skąd mam wiedzieć, kto te Polę załatwił?

Prokurator powiadomiony o wyniku przesłuchania nie bardzo wiedział, co ma zrobić. Bezpośrednich dowodów nie było tylko ewentualnie poszlaki, właściwie trochę za mało by wzna-

wiać dawno umorzone śledztwo, ale dla zasady wystąpił o trzymiesięczny areszt dla Marzeny Sępiak licząc na to, że sprawa się rozwinie. Sparzył się co prawda tydzień temu na pani sędzinie, która odmówiła posadzenia Sześciana, ale nie miał wyjścia, bo wypuszczenie Marzeny groziło jej zniknięciem.

Wszelako wysoki sąd w osobie pani sędziny tym razem nie miał skrupułów, mimo że przesłanki były dużo słabsze niż w przypadku właściciela „Zagłupianki” i zastosował zapobiegawczy areszt tymczasowy. Może pani sędzina uświadomiła sobie, że w poprzedniej sprawie popełniła błąd i teraz przegięła w drugą stronę, a może po prostu nie lubiła określonego gatunku kobiet. Któż zgadnie, co właściwie poeta chciał wyrazić.

Po godzinnej naradzie O'Mletta z Charujem obaj doszli do wniosku, że ich dotychczasowe ustalenia zaczęły się z lekka sypać, wobec czego trzeba koniecznie dodatkowo przesłuchać Beniamina Glizdola na okoliczność tego, co robił w przeddzień ślubu brata. Przydatne również byłoby przesłuchanie Ani Zanawieski, ale w tym celu należałoby ją wcześniej znaleźć.

Posterunek w Bagiennikach, interpelowany o nazwisko i obecny adres młodego człowieka po jakimś technikum, który niecały rok temu ożenił się z niejaką Anną Zanawieską i gdzieś z nią pojechał, odpowiedział już po dwóch godzinach. Rzeczywiście, był

na ich terenie taki mężczyzna, nazywał się Zenon Klocek, ukończył technikum mechaniczne i wyjechał z młodą żoną do miejscowości Bebechy Duże, gdzie otworzył zakład naprawy pojazdów. W Bebechach nie było posterunku policji, ale był w pobliskiej Szczypoliznie i stamtąd Charuj uzyskał informację telefoniczną, że warsztat naprawczy istnieje i jest prowadzony przez Zenona Klocka. Do Bebechów nie było dalej niż 60 kilometrów, więc O'Mlett z Charujem zaryzykowali podróż na miejsce.

Pani Anna Zanawieska-Klocek miała już jedno dziecko czepiające się spódnicy i drugie w zaawansowanej drodze, wobec czego Charuj postanowił rozmawiać z nią szalenie ostrożnie.

– Zakładam, że może pamiętać pani coś z przebiegu tego wieczora, gdy obie z Marzeną Sępiak pomagałyście Poli Gżypównie w dopasowywaniu ślubnej sukni – zaczął starając się przybrać ton towarzyskiej pogawędki.

– A pamiętam – z westchnieniem rezygnacji w głosie odrzekła kobieta. – Zawsze wiedziałam, że kiedyś o nią jakies śledcze zapytają.

– O Marzenę Sępiak?

– Nie, nie o Marzenkę, o tę drugą, co się za nią ciągała. Nie znałam jej dobrze, nie wiem gdzie robiła, ale była jakaś taka... całkiem nie do ludzi. Nikt od niej dobrego słowa nie usłyszał.

– O Kamili pani mówi?

– Właśnie. Marzenkę tylko co i raz podbechtywała, że nie umie sobie z Polą poradzić. Że jakby na nią przyszło, to zaraz by takiej Poli pokazała gdzie raki zimują!

– Nie lubiła Poli?

– Nikogój nie lubiła. A Pola ją kiedyś naszła z Beniaminem w krzakach, powiedziała nam o tym tak bardziej dla śmiechu, ale Kamila się na nią zapiekła, jakby było o co.

– A brat Poli znał Kamilę?

– Znał, ale z nią nie chodził. On z żadną nie chodził, zawsze mówił, że to grzech i obraza boska, przez co chłopcy się z niego nabijały. Pola mówiła, że Maniś może jakim księdzem zostanie, albo gdzie do zakonu pójdzie, bo do dziewczyn od małego nie miał śmiałości.

– A tego wieczora Kamila była z wami u Poli?

– Wpadła na chwilę, że niby Beniamina szuka. Zobaczyła, że jesteśmy we trzy, to tylko dziamnęła cośik tam w złości i zaraz poleciała. A Beniamina wcale nie trza było szukać, bo wiadomo było, że z Bonkiem pije za cegielnią. Ale jak wyszliśmy od Poli to ona wróciła się nazad, widziałam ją z drogi jak wracała.

– To czemu nie powiedziała pani o tym wtedy policji?

– Abo kto mnie o to pytał? Pytali tylko kiedy przyszłam, kiedy wyszłam, czy jakich chuliganów nie widziałam i wszystko. A chło-

pak... znaczy tera mój mąż powiedział, że jak nie pytają to samemu nie mówić, bo oni lepiej wiedzą co im potrzebne. Jakby chcieli co wiedzieć, to detalicznie by zapytali, jak pan teraz pyta!

Nie było co dłużej męczyć młodej matki. Zapytali jeszcze o suknię za ciasną przy szyi, zdjęty medalik i orientacyjny czas wizyty, ale nie usłyszeli niczego wyraźnie sprzecznego z zeznaniami Marzeny Sępiak.

W połowie tygodnia powrócił z Egiptu szanowny pan Burak i z miejsca złożył do prokuratury wojewódzkiej zażalenie na niekompetencję prokuratury w Kłakowie i niczym nieusprawiedliwione tolerowanie karygodnej napaści policji, czyli wykorzystywanie organów ścigania do celów politycznych, co jest niebywale skandaliczne i nikczemne, a dla całego społeczeństwa oczywiście oczywiste. Po dwóch dniach niektóre media nazwały to wydarzenie aferą Buraka, a inne media zaczęły się zastanawiać, co policja wspólnie z prokuraturą ma do ukrycia, że od miesiąca nie ujawnia kulis strasznej zbrodni we wsi Papucie Stare i wplątuje w nią Bogu ducha winnego biznesmena. Sugeruje się, że pan senator Czerpak złożył w tej sprawie interpelację, a pan minister sprawiedliwości podobno zastanawia się, czy nie podać się przypadkiem do dymisji, wobec czego istnieje podejrzenie, że pan premier z tej przyczyny przerwie wizytę w Republice Środkowego Katamaranu i pil-

nie powróci do kraju wyczarterowanym samolotem pozbawiając pana prezydenta możliwości udania się na zasłużony urlop, co jest wprost niebywałą bezczelnością.

– O jaka zbrodnia chodzi? O homisajd Bonawentura ci o uduśnienie Poli Gżip? – O’Mlett poczuł się zagubiony po wysłuchaniu niusów na wszystkich kanałach.

– Chyba o widły w plecach Glizdola, bo zarzucają prokuraturze, że przez miesiąc nic nie robi – Charuj dużo spokojniej podszedł do medialnych rewelacji – nie udzielaj tylko przypadkiem jakichś wywiadów, bo się jeszcze okaże, że to ty go zabiłeś zatrutym widelcem, a przedtem podobno miałeś pięcioro nieślubnych dzieci z blondynką Eskimoską i postrześliłeś Martina Lutera Kinga z procy. Niektórych naszych dziennikarzy stać na wyciągnięcie dowolnego wniosku z każdej rozmowy, nawet z tej, która nigdy się nie odbyła.

– No problem, w Stanach teś, ja psizwićajony.

Z tego całego szumu medialnego wynikała tylko taka korzyść, że O’Mlett z Charujem dowiedzieli się, iż pan Burak studiował prawo i był przez jakiś czas aplikantem u prokuratora Czerpaka. Nie miało to żadnego znaczenia dla sprawy, ale przynajmniej rzuciło jaśniej-sze światło na bohaterów śledztwa sprzed pięciu lat.

– W Stanach dla sąda najważniejsi dowody to źeci, potem do-kumenty, a na sam koniec szwiadki – stwierdził O’Mlett. – Szwiad-

ki często mówią nie to co wydziały, ale to co chciały widzieć. Od same świadki dziuri rzadko głosi wyroka, a u was?

– U nas nie ma dziury czyli ławy przysięgłych, a skład sędziowski od razu wsadza do dziury – półżartem wyjaśnił Charuj – a ze świadkami jest tak samo. Często gadają trzy po trzy para piętnaście i każdy co innego, zależnie od prywatnych poglądów na sprawę. A ogólnie panuje zasada „nie widziałem, nie słyszałem, nie pamiętam, bo byłem w szoku albo nieprzytomny i guzik mnie to obchodzi”.

– Ooo, faj, to zupełnie jak w Stanach, tam też każdy szwadek w śióku.

Genowefa Skubaniec z domu Sępiak, powtórnie wezwana do komendy w Kłakowie, bez żadnych wątpliwości rozpoznała pierścienek z czerwonym oczkiem odebrany napastnikom na Mańka Gzypa, jako ten, który otrzymała od narzeczonego, a następnie został ukradziony wraz z pozostałą biżuterią. Nie rozpoznała natomiast naszyjnika z „Jabloneksu”. Naszyjnik okazano więc przebywającej w areszcie Marzenie Sępiak i ta stwierdziła, że widziała go u Kamili Buś, ale nie wie jak się u niej znalazł.

Zeznania obu pań, aczkolwiek stanowiące cegietkę w układance, same w sobie nie wyjaśniały jeszcze niczego i gdy O’Mlett głowił się nad wmontowaniem tej cegietki w zawity mur podejrzeń,

nareszcie nadeszły wyniki badań DNA. Wynikało z nich niezbiecie, że kosmyk blond włosów z komórki Glizdólów i materiał genetyczny pobrany ze zwłok Kamili Buś pochodzą od tej samej osoby. Całkowitą zgodność wykazują również wyskrobiny spod paznokci Kamili i materiał z krótkich włosów i szczątków naskórka pobranych z szalika, którym ją uduszono, ale ma on męski charakter „Y”. Laboratorium, niestety, nie mogło określić, czyje to DNA, z braku elementów porównawczych znanego pochodzenia. Z włosów i innych śladów z grzebienia należącego do Marzeny Sępiak wyodrębniono wyłącznie jej DNA, a ślad krwi na metalowej rurze będącej przedłużeniem złamanego trzonka grabi z domu Glizdólów okazał się śladem pochodzącym od Bonawentury.

– No to teraz przesłuchamy sobie Mańka Gżypa! – powiedział Charuj zacierając ręce – niech nam ten świętobliwy abstynent wyjaśni, skąd u niego wziął się ten pierścionek i ta błyszcząca obroża, bo przecież chyba nie ulega wątpliwości, że synkowie Fafuły zabrali to z jego chałupy.

Przesłuchiwanie Zenka i Szczepana Fafułów O'Mlett pozostawił sierżantowi Brysiowi, jako że Maniek Gżyp nie wniósł skargi o pobicie, a i sprawa była nieistotna dla zasadniczego kierunku śledztwa. Poszkodowany nie miał również pretensji do napastników o zabranie z jego domu różnych przedmiotów twierdząc, że

działali po pijanemu i po wytrzeźwieniu niewątpliwie wszystko by mu zwrócili. Widać było, że pobitemu Mańkowi zależy na szybkim i bezkolizyjnym umorzeniu sprawy, co wydawało się sierżantowi lekko podejrzane. – Co on raptem taki wielki Samarytanin się zrobił? – stwierdził policjant i po konsultacji z Charujem wezwano Mańka na posterunek i posadzono przed obliczem komisarza i aspiranta.

– Śanowny panie Gżip. – Prosto z mostu rozpoczął O’Mlett siadając naprzeciwko delikwenta – pan pręko mówi lasiego pan strasi ludzi baj najt. Jaki pana inspirejszyn?

– Przepraszam, że jaki co?

– Co panem kierowało – wyjaśnił Charuj.

– Znaczy siem, co mnom kierowało? – Maniek udał zdziwienie chowając głowę w ramiona i stukając palcem w chudą pierś.

– Tak, panem, że pan po nocach udawał ducha, panie Gżyp. Po jaką cholere pan to robił? Co? Myślał pan, że my nie wiemy, kto tu bawi się w upiora?

– Ja tylko tak! No bo wszystko złe bez ten ankoholizm! I bez te złość ludzkom, gdy jeden drugiemu na przekór i uważania żadnego nie ma! A już po pijaku to przez nijakiego opamiętania!

– A pan to całkiem na trzeźwo tego ducha udawał?

– Ma siem rozumieć! Ja małowiela piję, bo z tego ino grzech i rozpusta. I doktor powiedział, że mam zapalenie typu „G’, czy ja-

kość tak, czyli jak siem ciut więcej napiję, to będę miał „g”, a nie wątrobę.

– Taki czeski naszyjnik, co panu Fafułowcie zabrali, to skąd pan miał?

– A to jeszcze Poli był, za pierwszom wypłatę se kupiła.

– I wie pan, że Fafułowcie go zabrali? I jeszcze pańską komórkę?

– No wiem. Przecież widziałem jak zabierali.

– Zna pan Genowefę Skubaniec?

– Nie znam. A kto to taki?

– To jest właścicielka złotego pierścionka z czerwonym oczkiem, który Fafułowcie też zabrali z pańskiego domu. Skąd pan miał ten pierścionek?

Do Mańka Gżypa wreszcie dotarło, czym może skończyć się to przesłuchanie, więc sczerwieniał, potem zbladł, twarz jego przybrała zacięty wyraz i zaczął się rozpaczliwie bronić.

– Jaki pierścionek, jak rany? Ja nie miałem żadnego pierścionka! Panowie, o co wy mnie, kurna, posądzata? Że ja jaki złodziej jestem?

– A szalik w zieloną kratkę pan miał?

Od tego momentu Maniek całkowicie zamilkł. Poszedł w zaparte, na dalsze pytania odpowiadał monosylabami albo wcale nie odpowiadał, względnie koncentrował się na względnie bezpiecz-

nym dla niego temacie udawania ducha, bezskutecznie usiłując przekonać policjantów o swej aktywności jedynie w tym zakresie. Przysięgał, że nigdy w życiu nie nosił żadnego szalika, bo ma tak odporny organizm, że w szyć mu nie zimno i wszyscy we wsi mogą ten fakt potwierdzić.

Wyniki badań DNA mówiły wszakże co innego. Mańka Gzypa poinformowano, że jest zatrzymany w wyniku podejrzenia o zabójstwo Kamili Buś i z zachowaniem pełnej dyskrecji odstawiono do aresztu w Kłakowie.

Prokurator okazał szczerze zadowolenie. Po pierwsze miał prawie rozwiązana sprawę, bo nie wątpił, że Maniek przyduszony w prokuraturze przyzna się do winy, a jeśli nawet nie, to w oparciu o takie wyniki DNA uda się wygrać proces poszlakowy. A po drugie, sprawcę podsunęła mu komenda stołeczna, więc ją, a nie jego i komendę w Kłakowie dosięgnie główny cios ewentualnej zemsty politycznej, sygnalizowanej dotychczas przez niesprecyzowane naciski z góry. Nakazał więc niezwłoczne pobranie od Mańka materiału porównawczego DNA i wystąpił o zastosowanie aresztu tymczasowego.

Słusznie przewidywał, że pani sędzina tym razem nie będzie miała większych obiekcji, bo nawet jej nieskrępowaną swobodę interpretacji ograniczy bezczelnie jednoznaczna wymowa kwasu dezoksyrybonukleinowego.

Po przekazaniu prokuratorowi Mańka Gżypa wraz z poszlakami przeciwko niemu O'Mlett i Charuj mogliby właściwie przestać grzebać w sprawie zabójstwa Kamili Buś, gdyby nie wisiał nad nimi niewyjaśniony mord na osobie Bonawentury Glizdola i zagadka śmierci Apolonii Gżypianki pięć lat temu. Nic ich, co prawda, nie obligowało do ciągnięcia tego ostatniego śledztwa, ale komisarz wychodził z założenia, że uczciwość zawodowa tego wymaga skoro się sprawę raz rozbabrało, a kluczowy świadek w osobie Marzeny Sępek dalej siedzi w pudle, być może całkiem niewinnie.

– Nie moje małpy, nie mój cyrk – stwierdził Charuj, gdy O'Mlett próbował ustalić tok dalszego postępowania. – Niech się prokurator głowi, jak ją zwolnić. Myśmy przecież nie występowali o jej aresztowanie.

– Twoja maupa teś, bo ty myślałeś, że ona wmesiana w morda Apolonii!

– Tak, myślałem. Ty też myślałeś i co z tego? Po prawdzie, to dalej nie wiemy, czy wmeszana, czy nie wmeszana. Jak będzie dowód, że kto inny zabił Polę, to sprawa sama się rozwiąże.

– Ale ćeba siukać, żeby mać tego dowoda! Teraz to nasia obowiązka, bo my chcieli wiedzieć, ci sprawy szmerci Poli i Bonawentura jak połącione. My to rozgźebali i my muszy zakończć, a nie tak, że szedzi może nie ten co ćeba!

– Ona dwa razy ukradła ten medalik, najpierw Poli, a później swojej siostrze razem z innymi precjozami. Co prawda sprawa o taką kradzież może być z oskarżenia prywatnego, ale może być i z publicznego, w procesie adhezyjnym. Tak czy owak, może za to oberwać. Dura lex, sed lex.

Pogadali i stanęło na tym, że będą ciągnąć ten wątek mimo jakichś cichych oporów.

Poprawiny uroczystości dożynkowych, które odbyły się w tydzień po zasadniczych obchodach, przebiegły w atmosferze przyjaźni i wzajemnego porozumienia. W jakiś dziwny sposób do społeczności wiejskiej dotarła wieść, że ducha już nie ma, choć żaden z policjantów nie puścił pary z gęby. Informacja o zniknięciu Mańka Gżypta krążyła po chałupach przybierając niekiedy najdziwniejsze formy i stając się tematem ożywionych dyskusji. Niektórzy sądzą, że wstąpił w końcu do klasztoru, na co od dawna się zanosilo. Inni byli zdania, że zwyczajnie dokąds wyjechał zniechęcony prymitywną filozofią zapijaczonego otoczenia, tylko nieliczni reprezentowali nedorzeczny pogląd, że zamknięto go do pierdła, oczywiście za niewinność.

Rewanżowy mecz piłkarski pomiędzy K.S. Papucianką, a F.K. Gwiazdobiorem z Rzyci Wielkiej nie przyniósł rozstrzygnięcia satysfakcjonującego którąkolwiek ze stron. Do przerwy wynik

brzmiał 11 do 11, a po zmianie stron spotkanie przerwano, bo zaczęło tak potężnie lać, że i bez tego po podmokłej łące można było jedynie ewentualnie popływać w balii. Sędziujący ksiądz wikary doszedł więc do wniosku, że miłosierna opatrność zdecydowanie sprzeciwia się sukcesowi jednej z drużyn i nie należy w tym zakresie nadweręzać niebiańskiej cierpliwości.

Przemoknięci do nitki zawodnicy, trenerzy, działacze i spectatry udali się więc do gospody aby godnie zakończyć spotkanie i opatrzeć bramkarza gości, którego w zamieszaniu podbramkowym podniesiono leżącego po robinsonadzie i walnięto łbem o poprzeczkę. Poszkodowany bronił się jak lew, uraz bowiem był lekki i delikwent nie chciał uchodzić za mięczaka, niemniej wspólnymi siłami pokonano jego opór i owinięto mu głowę rękawem oddartym z koszuli zostawiając jedynie otwór w pobliżu ust, niezbędny do przyjmowania środków znieczulających.

W związku z tym, że rewanż na boisku nie przyniósł rozstrzygnięcia, trenerzy obu drużyn postanowili dokończyć spotkanie w formie uświęconej wieloletnią tradycją. Pierwszy spadł ze stołka szkoleniowiec „Gwiazdozbioru”, wobec czego miejscowi entuzjastycznie uznali, że ich zespół odniósł zasłużony sukces gwarantujący mu co najmniej wejście do ekstraklasy. Goście nie zgodzili się z tą decyzją uparcie twierdząc, że ich trener uległ jedynie zatruciu.

ciu nieświeżą, podsuniętą przez gospodarzy zagrychą. W związku z tym nastąpiła ogólna przepychanka, zakończona dopiero późnym wieczorem wspólnym wypoczynkiem na deszczu i nikt nie musiał interweniować ani orzekać modnych ostatnio zakazów stadionowych.

Duch nie pojawił się w żadnej postaci, jak też nie dał nikomu w mordę, choć miałby ku temu wiele wspaniałych okazji. Co prawda lało przez całą noc tak uporczywie, że nawet najbardziej ztwardziały upiór nosa z grobu by nie wyściubił.

Kończył się już sierpień, bociany zbierały się by odlecieć przez bliski wschód do Egiptu, a lekarze i pielęgniarki masowo wykupywali bilety tanich linii do Irlandii. Robotnicy sezonowi wymieniali już swoje złotówki na dolary i kombinowali, jak tu oszukać rosyjską mafię przybraną w wielkie czapy straży granicznej, a politycy i parlamentarzyści planowali ponoć niezbędne dla dobra ojczyzny zagraniczne wizyty urlopowe z rodzinami lub kochankami za społeczne pieniądze. Krótko mówiąc cały świat mógł nieco odetchnąć po letnim, upalnym kołowrocie, tylko O'Mlezz z Charujem dalej nie wiedzieli, kto zaciukał świętej pamięci Bonawenturę Glizdola.

Pewnego dnia w pogodne popołudnie odpowiednim służbom z komendy w Kłakowie udało się dorwać niejakiego Dychę, hurtowego dilera prochów dostarczanych między innymi do detali-

sty z „Zagłupianki”. Dycha wpadł przez własną nieostrożność, bo uwierzył, biedna sirota, że skoro Sześciana nie zapuszkowali, to ma on względną swobodę ruchu w sprawach handlowych i można zażądać od niego zwrotu długu za ostatnią, zarekwirowaną dostawę. Wywiadowcy pozwolili na spotkanie kontrahentów, ale do negocjacji przy użyciu piętnastrzałowej beretty już nie dopuścili i zdrutowali obu panów, gasząc w zarodku narastający konflikt.

Przesłuchiwany Dycha oczywiście zwał wszystko na Sześciana, odwracając kota ogonem i przypisując mu rolę, którą sam pełnił, więc broniący się Sześcian zaczął oskarżać o wszelkie nieprawości nieżyjącą Kamilę Buś, bowiem odwetowy atak na Dychę byłby jednocześnie atakiem na jego mocodawców, a tego mimo wszystko Sześcian nie chciał ryzykować.

Zeznał więc Sześcian, że dystrybucją narkotyków, poza jego wiedzą oczywiście, zajmowała się Belka, że to ona trzęsła całym przedsiębiorstwem i trzymała w ręku wszystkie sznurki szantażując każdego, kto tylko dał jej po temu najmniejszą choćby przyczynę. Ona też, zdaniem Sześciana, prowadziła agencję towarzyską i wymuszała haracz od podległych dziewczyn.

Policjanci z obyczajówki i narkotyków oczywiście nie uwierzyli w tę bajkę, ale pozwalali Sześcianowi mówić licząc na jakąś wartościowszą informację, którą ewentualnie dałoby się sprawdzić

i wykorzystać. Kiedy więc właściciel „Zagłupianki” w trakcie usilnej obrony wspomniał, że Marzena Sępiak też była szantażowana przez Kamilę za morderstwo, którego nie popełniła, zapamiętali ten fragment zeznań i pomijając drogę służbową powiadomili O’Mletta.

Komisarz, upewniwszy się że zeznanie Sześciana zostało należycie zaprotokołowane i przez niego podpisane, osobiście zaparzył dubeltową kawę i stawiając ją przed Charujem stwierdził z lekkim triumfem w głosie:

– No! Parso duży kameń upadał mi od serca!

– Taaak? A spadając nie walnął cię przypadkiem w stopę? – z przekąsem zapytał Charuj.

– Lasiego?

– Bo to żaden dowód, jedynie poszlaka, a i to wątpliwa. Sześcianowi wolno pleść trzy po trzy, czyli wszystko co mu się żywnie podoba. On jest podejrzanym we własnej sprawie, a nie świadkiem w sprawie Kamili i za najbardziej wymyślne bajki nie grozi mu żadna odpowiedzialność. Dla nas to tylko dodatkowa informacja. Ja osobiście mu wierzę, ale z tego nic nie wyniknie, chyba że powtórzy to jako świadek w sprawie zabójstwa Poli przez Belkę, a na takie przesłuchanie się nie zanosi. Przecież oficjalnie śledztwo nie zostało wznowione i pewnie nie będzie, bo by nam pan senator

Czerpak łby pourywał. A po drugie żaden sąd nie przyjmie sprawy jeżeli domniemany sprawca nie żyje, czyli nie ma co wszczynać wojny o pietruszkę.

– To co my jeście robym? – O’Mlett wygasił euforię i powoli popijał kawę parząc sobie palce gorącą szklanką. – Jeżeli domniemany zabójca Poli nie żyje, a zabójca Belki siedzi i pewnie straszy teraz inne węźnię w Kłakowie, to my anemplajed, znać... biedne bezrobotne? Ty to chciała powiedzieć?

– Dokładnie. Wygląda na to, że trzeba kończyć i wracać do domu.

– Ale kto robi mordę na Glizdolu my nie wykryli. Ja nie lubię takie niedokończone, bo wychodzą na to, że on jednak może samobójca, ćili pan ksiądz miał rację.

– Ja też nie kocham niewykrytych spraw, ale masz jakiś lepszy pomysł, jak tylko zamknąć i zapomnieć?

Podinspektor Przeciąg przyjął ich następnego dnia przed południem. Z błąkającym mu się po zaciśniętych wargach lekkim uśmiechem politowania wysłuchał informacji o wykryciu i ujawnieniu wiejskiego ducha w osobie niejakiego Mariana Gżypa i zidentyfikowaniu go jako podejrzanego o zabójstwo Kamili Buś. Również bez szczególnych emocji przyjął wieść, że zabójczynią Apolonii Gżyp przed pięcioma laty najprawdopodobniej była

nieżyjąca Kamila Buś, pseudonim „Belka”, prawa ręka niejakiego „Sześciana”, szefa burdelu w Kłakowie.

Gdy skończyli relację, zapadł głębiej w fotel i zapytał z przekąsem.

– To po toście, panowie, przez sześć tygodni trwonili czas i pieniądze podatników? No i do czego doprowadziło objawienie tych prawd? Że jedna baba siedzi za kradzież jakiegoś medalika, a w innej sprawie wyręczyliście komendę powiatową? Chwała wam za to, ale czy musieliście przy okazji drażnić jakiegoś lwa u góry?

– To wszystko były działania uboczne, podejmowane w drodze do ustalenia przyczyn śmierci Beniamina Glizdola – spokojnie wyjaśnił Charuj.

– No i ustaliliście te przyczyny? Co powiecie prokuratorowi, gdy was o to zapyta? Że jego też jakiś upiór widłami zabił? – parsknął podinspektor. – No to może i mnie raczycie oświecić w tym względzie! Co mu się stało? Na minę włożył?

O’Mlett nagle doznał olśnienia i z uśmiechem spojrzął na rozindyczonego szefa.

– Oczywisto, pane inspikoże. Jego żadna upiorka nie zabyja. Żywy osoba też!

– Jak to nikt go nie zabił? Przecież facet nie żyje!

– Yes. On po czemku nadepnął na grabie!

KONIEC